

Alistair MacLean

## Lalka na łańcuchu

Przełożył  
Bronisław Zieliński

### Rozdział pierwszy

- Za kilka minut będziemy lądowali na lotnisku Schiphol w Amsterdamie. - Miodopłynny, jednostajny głos holenderskiej stewardesy był dokładnie taki sam jak w każdej z wielu europejskich linii lotniczych.

- Proszę zapiąć pasy i zgasić papierosy. Mamy nadzieję, że lot był dla państwa przyjemny, i jesteśmy pewni, że równie przyjemnie spędzą państwo swój pobyt w Amsterdamie.

Podczas przelotu rozmawiałem krótko z tą stewardesą. Uroczą dziewczyna, ale skłonna do pewnego nie uzasadnionego optymizmu w swoim poglądzie na życie w ogólności, toteż nie mogłem zgodzić się z nią co do dwóch spraw: lot nie był dla mnie przyjemny i nie przewidywałem, żebym przyjemnie spędził mój pobyt w Amsterdamie. Lot nie był dla mnie przyjemny, ponieważ żaden lot nie sprawiał mi przyjemności, odkąd przed dwoma laty silniki DC 8 nawaliły zaledwie w parę sekund po starcie, doprowadzając do odkrycia dwóch rzeczy: że pozbawiony napędu odrzutowiec ma ślizgowe właściwości bloku betonu oraz że chirurgia plastyczna może być bardzo przewlekła, bardzo bolesna, bardzo kosztowna, a czasem nie bardzo udana. Nie przewidywałem też, żeby mi było przyjemnie w Amsterdamie, chociaż jest to bodaj najpiękniejsze miasto na świecie, z najbardziej przyjaznymi mieszkańcami, jakich można gdziekolwiek znaleźć. Po prostu sama natura moich służbowych podróży za granicę automatycznie wyklucza cieszenie się czymkolwiek.

Kiedy wielki DC 8 linii KLM - nie jestem przesądny, każdy samolot może spaść z nieba - schodził w dół, rozejrzałem się po jego wypełnionym wnętrzu. Zauważyłem, iż większość pasażerów najwyraźniej podziela moje przeświadczenie, że latanie jest absolutnym obłędem; ci, którzy nie posługiwali się swoimi paznokciami do wydłubywania dziur w kaelemowskiej tapicerce, siedzieli odchyleni do tyłu z przesadną nonszalancją albo też gawędzili z pogodnym wesołym ożywieniem dzielnych ludzi, którzy idą na śmierć z dowcipem na uśmiechniętych ustach - takich, co mogli beztrąsko machać ręką pełnym podziwu tłumom, kiedy ich wózek zajeżdżał pod

gilotyne. Krótko mówiąc, dosyć dobry przekrój rasy ludzkiej. Wyraźnie praworzadni. Zdecydowanie nie zbrodniczy. Zwyczajni; nawet nijacy. Chociaż może to jest niesprawiedliwe - znaczy się to, że nijacy. Ażeby ktoś się kwalifikował do tej raczej niepocholebnej oceny, muszą istnieć jakieś porównawcze punkty odniesienia, uzasadniające jej zastosowanie; na szczęście dla reszty pasażerów, w tym samolocie znajdowały się dwie osoby, przy których każdy wyglądałby nijako.

Obejrzałem się na tę parę, siedzącą o trzy rzędy za mną po drugiej stronie przejścia. Ten mój ruch nie mógł zwrócić na mnie uwagi, ponieważ większość mężczyzn, mających owe osoby w zasięgu wzroku, nie robiła właściwie nic innego od startu z lotniska Heathrow, tylko im się przypatrywała; dlatego też niepatrzenie na nie byłoby właśnie prawie gwarantowaną metodą zwrócenia nań siebie uwagi.

Po prostu dwie dziewczyny siedzące obok siebie. Prawie wszędzie można spotkać dwie dziewczyny siedzące razem, ale trzeba by poświęcić najlepsze lata życia na znalezienie takich dwóch jak te. Jedna o włosach czarnych jak skrzydło kruka, druga olśniewająca platynowa blondynka, obydwie ubrane, wprawdzie skąpo, w minisukienki - brunetka w białą, jedwabną, blondynka cała w czerni, obydwie zaś obdarzone, o ile można było dojrzeć - a można było dojrzeć całkiem sporo - figurami, które jasno wykazywały, jak olbrzymie postępy poczyniły nieliczne wybrane przedstawicielki płci żeńskiej od czasów Wenus z Milo. Nade wszystko były uderzająco piękne, ale nie tym mdłym i pustym rodzajem niedojrzałej urody, która wygrywa konkurs o tytuł Miss Świata; osobliwie do siebie podobne, miały delikatnie ukształtowaną budowę kostną, czyste rysy i niewątpliwie cechy inteligencji, dzięki którym pozostałyby piękne nawet w dwadzieścia lat po tym, gdy zwiędłe wczorajsze Miss Świata od dawna już zrezygnowałyby z nierównego współzawodnictwa.

Blondynka uśmiechnęła się do mnie uśmiechem zarazem figlarnym i prowokacyjnym, ale przyjaznym. Posłałem jej beznamiętne spojrzenie, a ponieważ początkującemu chirurgowi plastycznemu, który nade mną pracował, nie całkiem się udało dopasować obydwie strony mej twarzy, mojemu beznamiętnemu spojrzeniu wyraźnie brakuje zachęty - mimo to jednak uśmiechnęła się do mnie. Brunetka trąciła swą towarzyszkę, która zerknęła na nią, spostrzegła karcące zmarszczenie brwi, skrzywiła się i przestała uśmiechać. Popatrzyłem w inną stronę.

Byliśmy teraz niespełna dwieście jardów od końca pasa startowego i aby oderwać myśli od prawie całkowitej pewności, że podwozie rozleci się; gdy tylko dotknie nawierzchni, odchyliłem się do tyłu, przymknąłem oczy i zacząłem rozmyślać o obydwu dziewczynach. Przyszło mi do głowy, że bez względu na wszelkie moje niedostatki nikt nie mógłby twierdzić, że dobieram sobie współpracowników bez uwzględniania pewnych estetyczniejszych aspektów życia. Maggie, owa brunetka, dwudziestosiemioletnia, pracowała ze mną od przeszło pięciu lat; wybitnie inteligentna, metodyczna, staranna, dyskretna, niezawodna, prawie nigdy nie popełniała błędów, w naszym zawodzie nie ma czegoś takiego, jak osoba, która nigdy nie popełniała błędów. Co ważniejsze, lubiliśmy się z Maggie od lat, a to jest niemal podstawowy element tam, gdzie chwilowa utrata wzajemnego zaufania i współzależności może mieć konsekwencje nieprzyjemnej i trwałej natury; o ile mi jednak wiadomo, nie lubiliśmy się nadmiernie, to bowiem mogłoby być równie fatalne.

Belinda, dwudziestodwuletnia blondynka, paryżanka, pół Francuzka, pół Angielka, wykonująca teraz swoje pierwsze zadanie operacyjne, była dla mnie prawie zupełną niewiadomą. Nie zagadką, po prostu nie znaną jako ludzka istota; kiedy SIreté wypożycza komuś jednego ze swoich agentów,

a właśnie wypożyczyła mi Belindę, załączane akta owego agenta są tak wszechstronne, że żaden istotny fakt z życia czy przeszłości owej osoby nie jest tam pominięty. Wszystkim, co zdołałem dotychczas zaobserwować na płaszczyźnie osobistej, było to, że Belindzie zdecydowanie brakowało owego szacunku - jeżeli już nie bezgranicznego podziwu - którym młodzi powinni darzyć starszych oraz przełożonych w swoim zawodzie, czym byłem w tym wypadku właśnie ja. Jednakże cechowała ją ta spokojna, przedsiębiorcza sprawność, która była znacznie ważniejsza od wszelkich zastrzeżeń, jakie Belinda mogła mieć w stosunku do swego pracodawcy.

Żadna z dziewczyn nie była dotąd w Holandii, co stanowiło jedną z głównych, przyczyn, że mi teraz towarzyszyły; poza tym ładne dziewczyny są w naszym nieładnym zawodzie rzadsze niż futra w Kongo, i przez to mogą mniej zwracać na siebie uwagę ludzi podejrzliwych i podłych: DC 8 dotknął ziemi, podwozie pozostało w całości, więc otworzyłem oczy i zacząłem rozmyślać o pilniejszych sprawach. Duclos. Jimmy Duclos oczekiwał mnie na lotnisku Schiphol i Jimmy Duclos miał mi coś ważnego i pilnego do zakomunikowania. Zbyt ważnego, by to przesyłać, nawet w zaszyfrowanej formie, normalną drogą; zbyt pilnego, by czekać na usługi kuriera dyplomatycznego naszej ambasady w Hadze. Nie zastanawiałem się nad prawdopodobną treścią tej wiadomości; miałem się z nią zapoznać za pięć minut. I wiedziałem, że będzie tym, czego chciałem. Źródła informacji Duclosa były nienaganne, same informacje zawsze precyzyjne i stuprocentowo ściśle. Jimmy Duclos nie popełniał błędów - przynajmniej takiej natury.

DC 8 zwalniał i już widziałem krokodylowy "rękaw" sięgający skosem od głównego budynku, gotów przywrzeć do wyjścia z samolotu, kiedy ten się zatrzyma. Odpiąłem pas, wstałem, zerknąłem na Maggie i Belindę bez żadnego wyrazu czy oznak rozpoznania i ruszyłem ku wyjściu, kiedy samolot był jeszcze w ruchu, co jest posunięciem źle widzianym przez linie

67

lotnicze, a już z pewnością, tak jak w tym wypadku, przez innych pasażerów w samolocie, których miny wyraźnie wskazywały, że znajdują się w obecności zarozumiałego i prostackiego gburą, który nie może poczekać na zajęcie swojego miejsca wśród reszty cierplivej i ustawiającej się w kolejce rasy ludzkiej. Nie zwróciłem na nich żadnej uwagi. Już dawno pogodziłem się ze świadomością, że popularność nie będzie nigdy moim udziałem.

Stewardesa uśmiechnęła się jednak do mnie, ale nie był to wyraz uznania ani dla mojej powierzchowności, ani osobowości. Ludzie uśmiechając się do innych ludzi, kiedy ci budzą w nich respekt czy lęk, albo jedno i drugie. ilekroć podróżuję samolotem - poza okresami, gdy jestem na urlopie, co następuje mniej więcej raz na pięć lat - wręczam stewardesie niewielką zaklejoną kopertę do przekazania kapitanowi samolotu, a kapitan który, zazwyczaj, tak samo jak każdy, lubi zaimponować ładnej dziewczynie, na ogół ujawnia jej treść, składającej się z mnóstwa bzdur na temat absolutnego pierwszeństwa we wszelkich okolicznościach, co jest z reguły całkowicie niepotrzebne poza tym, że zapewnia nienaganny i natychmiast podany obiad, kolację oraz usługi barowe. Natomiast całkowicie potrzebny jest inny przywilej, z którego korzysta kilku moich kolegów, a także ja sam - stosowane do dyplomatów zwolnienie od rewizji celnej, co jest korzystne, ponieważ bagaż mój zwykle zawiera parę sprawnie działających pistoletów, mały, ale przemyślnie zaprojektowany zestaw narzędzi włamywacza oraz kilka innych niecnym przyborów, na ogół źle widzianych przez władze imigracyjne bardziej rozwiniętych krajów. Nigdy nie

noszę przy sobie broni w samolocie, bo poza faktem, że śpiący człowiek może niebaczenie odslonić pod ramienną kaburę siedzącemu obok pasażerowi powodując tym masę niepotrzebnej konsternacji, tylko szalenię mógłby wystrzelić w ciśnieniowej kabinie nowoczesnego samolotu. Co właśnie wyjaśnia zdumiewające sukcesy porwaczy samolotów; skutki implozji mogą bowiem być nieodwracalne.

Drzwi wyjściowe otworzyły się i wkroczyłem do "rękawa" z blachy falistej. Paru pracowników lotniska usunęło się uprzejmie na bok, gdy ich mijałem zmierzając do jego drugiego końca, który wychodził na halę dworca lotniczego i dwa ruchome chodniki przenoszące pasażerów do strefy imigracyjnej oraz w odwrotnym kierunku.

Przy końcu chodnika sunącego na zewnątrz stał tyłem do niego jakiś mężczyzna. Był średniego wzrostu, szczupły i zgoła niepociągający. Miał ciemne włosy, głęboko pobrużdżoną, smagłą twarz, zimne, czarne oczy i wąską szparę tam, gdzie powinny by znajdować się usta; nie był akurat typem człowieka, którego bym zachęcał do odwiedzania mojej córki. Ale ubrany był dosyć przyzwoicie w czarny garnitur i czarny płaszcz, i chociaż nie stanowi to kryterium przyzwoitości, trzymał w ręce dużą i najwyraźniej nowiutką torbę lotniczą.

Jednakże nie obchodzili mnie nieistniejący konkurenci do rąk nie istniejących córek. Znalazłem się już dostatecznie daleko, by się obejrzeć na ruchomy chodnik prowadzący do hali lotniska, na której teraz stałem. Było na nim czterech ludzi, a pierwszego z nich, wysokiego, chudego, szaro ubranego mężczyznę o cienkim wąsiku i wszystkich zewnętrznych znamionach zamożnego buchaltera, poznałem od razu. Jimmy Duclos. Moją pierwszą myślą było, że musiał uważać swoje informacje za naprawdę doniosłe i pilne, skoro zjawił się tutaj na moje spotkanie. Drugą moją myślą było, że musiał podrobić przepustkę policyjną, aby się dostać tak daleko na dworzec lotniczy, to zaś wydawało się logiczne, ponieważ był mistrzowskim fałszerzem. Trzecią moją myślą było; że postąpiłbym uprzejmie i przyjaźnie, gdybym pomachał ręką i uśmiechnął się do niego, co też zrobiłem. On także pomachał ręką i uśmiechnął się do mnie.

Uśmiech ten trwał ledwie sekundę i niemal natychmiast zastygł w wyraz całkowitego przerażenia. Wtedy zauważyłem niemal podświadomie że linia wzroku Duclosa przesunęła się odrobinę.

Obejrzałem się szybko. Smagły mężczyzna w ciemnym ubraniu i płaszczu nie stał już tyłem do ruchomego chodnika. Obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni, twarzą do niego, a torba lotnicza nie zwisała mu już w ręce, ale znalazła się dziwnie wysoko pod pachą.

Ciągle nie wiedząc, co się święci, zareagowałem instynktownie i podskoczyłem do człowieka w czarnym płaszczu. Przynajmniej zebrałem się do skoku. Jednakże trzeba mi było całej długiej sekundy, aby zareagować, a mężczyzna natychmiast - i to naprawdę natychmiast - pokazał całkowicie przekonująco zarówno dla siebie, jak dla mnie, że sekunda aż nadto mu wystarcza na wykonanie każdego gwałtownego manewru, jaki chce zrobić. On był przygotowany, ja nie, i okazał się w istocie bardzo gwałtowny. Ledwie ruszyłem z miejsca, okręcił się ostro, konwulsyjnie o ćwierć obrotu i rąbnął mnie w splot brzuszny kantem swej torby lotniczej.

Torby lotnicze zazwyczaj są miękkie i wiotkie. Ta taka nie była. Nigdy nie zostałem uderzony kafarem do wbijania pali i wcale tego nie pragnę, ale obecnie mam pewne pojęcie, jakie to może być uczucie. Efekt był mniej więcej ten sam. Zwalilem się na podłogę, tak jakby jakaś gigantyczna ręka podcięła mi nogi, i ległem tam bez ruchu. Byłem jednak zupełnie przytomny. Widziałem, słyszałem, mogłem do pewnego stopnia oceniać,

co się działo dokoła mnie. Ale nie mogłem nawet się wić, do czego miałem wyłącznie skłonność w owym momencie. Słyszałem o porażających szokach umysłowych; pierwszy raz doznałem całkowicie porażającego szoku fizycznego.

Wszystko zdawało się dziać śmiesznie powoli. Duclos rozejrzał się rozpaczliwie dokoła, ale nie miał sposobu wydostać się z tego ruchomego chodnika. Zawrócić nie mógł, bo trzech mężczyźni stłoczyli się tuż za nim

9

- trzech mężczyźni którzy zdawali się całkiem nieświadomi tego, co się działo; dopiero później, znacznie później uprzytomniłem sobie, że musieli być współnikami człowieka w ciemnym ubraniu, umieszczonymi tam po to, aby Duclos nie miał innego wyboru, jak tylko posuwać się naprzód wraz z tym ruchomym chodnikiem, na spotkanie śmierci. Dzisiaj uważam, że była to dokonana z najbardziej diaboliczną zimną krwią egzekucja, o jakiej słyszałem, chociaż w swoim życiu nasłuchiwałem się wielu historii o ludziach, którzy nie doszli do kresu swych dni w sposób zamierzony przez Stwórcę. Mogłem poruszać oczami, więc to zrobiłem. Spojrzałem na torbę lotniczą i oto z jednego jej końca, spod kłapy, sterczał podziurkowany jak durszlak cylinder tłumika. To był ten kafar, który spowodował mój chwilowy paraliż - miałem nadzieję, że tylko chwilowy - a z uwagi na siłę, z jaką zostałem uderzony, zdziwiłem się, że nie zgiął się we dwoje. Spojrzałem na człowieka który, trzymał broń w prawej dłoni ukrytej pod klapą torby. W tej smagłej twarzy nie było ani zadowolenia, ani wyczekiwania - po prostu spokojna pewność zawodowca, który wie, jak dobrze wykonuje swoją robotę. Gdzieś czyjś odcieleśniony głos oznajmił o wylądowaniu KL 132 z Londynu - samolotu, którym przybyliśmy. Pomyślałem mgliście i nedorzeczenie, że nigdy nie zapomnę numeru tego lotu, ale przecież zdarzyłoby się to samo bez względu na lot, który bym wybrał, bo Duclos musiał umrzeć, zanim by się ze mną zobaczył.

Spojrzałem na Jimmy'ego Duclosa; miał twarz człowieka skazanego na śn'erc. Malowała się na niej rozpacz, ale rozpacz spokojna i opanowana, kiedy sięgał głęboko w zanadrze swego płaszcza. Trzech mężczyzn za nim padli na ruchomy chodnik i też dopiero dużo później zrozumiałem co to znaczyło. Duclos wydobył rewolwer i w tejże chwili rozległo się stłumione puknięcie i w połowie lewej kłapy jego płaszcza ukazała się dziurka. Targnął się konwulsyjnie, pochylił w przód i upadł na twarz; ruchomy chodnik poniosł go do hali i jego zwłoki potoczyły się na mnie.

Nigdy nie będę miał pewności, czy moja całkowita beczynność w ciągu tych kilku sekund poprzedzających śmierć Duclosa wynikała z rzeczywistego fizycznego paraliżu, czy też poraziła mnie nieuchronność, z jaką zgiął. Nie jest to myśl, która będzie mnie prześladowała, ponieważ nie miałem broni i nic nie mogłem zrobić. Po prostu jest to dosyć ciekawe, bo nie ma wątpliwości, że dotknięcie jego zwłok natychmiast podziałało na mnie ożywczo.

Nie było to cudowne ozdrowienie. Ogarnęła mnie fala mdłości, a w miarę jak mijał pierwszy szok po uderzeniu, brzuch zaczął mnie boleć nie na żarty. Bolało mnie też czoło, i to bynajmniej nie lekko, ponieważ upadając musiałem uderzyć głową o podłogę. Jednakże w pewnym stopniu powróciło mi panowanie nad mięśniami, więc dźwignąłem się ostrożnie na nogi - ostrożnie, bo z uwagi na mdłości i otumanienie byłem przygotowany na to, że w każdej chwili dokonam mimowolnego powrotu na podłogę. Cała sala kołysała się ogromnie niepokojąco \_ stwierdziłem, że niezbyt dobrze widzę, toteż doszedłem do wniosku, iż uderzenie głową musiało

uszkodzić mi wzrok, co było bardzo dziwne, gdyż zdawał się działać całkiem sprawnie, póki leżałem na podłodze. A potem uświadomiłem sobie, że powieki mam zlepione i kiedy zbadałem to dłonią odkryłem przyczynę: krew - jak mi się przez chwilę mylnie wydawało, masa krwi - ściekała z rozcięcia na czole tuż pod włosami. Witamy w Amsterdamie = pomyślałem i wydobyłem chusteczkę; dwa potarcia nią i wzrok znowu miałem stuprocentowy.

Cała sprawa od początku do końca nie mogła trwać dłużej niż dziesięć sekund, ale już kłębił się dokoła zaniepokojony tłum, tak jak to zawsze bywa w podobnych wypadkach; czyjaś nagła śmierć, gwałtowna śmierć, jest dla ludzi tym samym, co otwarty słoik miodu dla pszczoł; uświadomienie sobie istnienia jednego i drugiego natychmiast ściąga imponującą ich liczbę z miejsc, które kilka sekund przedtem wydawały się obrane z wszelkiego życia. '

Nie zwracałem na nich uwagi, tak samo jak na Duclosa. Nie mogłem już nic zrobić dla niego ani on dla mnie, bo obszukanie go nic by nie ujawniło; tak jak wszyscy dobrzy agenci, Duclos nigdy nie przelewał niczego wartościowego na papier ani na taśmę, tylko po prostu przechowywał to w wysoce wyćwiczonej pamięci. .

Smagły, morderczy mężczyzna z morderczą bronią musiał już w tym czasie zbiec; jedynie rutyna i zakorzeniony instynkt sprawdzania nawet rzeczy niesprawdzalnych kazały mi zerknąć na salę imigracyjną, aby uzyskać potwierdzenie, że istotnie zniknął.

Jednakże smagły mężczyzna bynajmniej jeszcze nie uciekł. Był w dwóch trzecich drogi przez salę imigracyjną, szedł beztroską, do wyjścia ruchomym chodnikiem, kołysząc od niechcienia swoją torbą lotniczą, pozornie nieświadomy zamieszania, które powstało za nim. Przez chwilę patrząc na niego nie mogłem tego pojąć, ale tylko przez chwilę, w ten sposób bowiem zawodowiec dokonuje ucieczki. Zawodowy kieszonkowiec w Rscot, który właśnie pozbawił portfela stojącego obok dżentelmena w szarym cylindrze, nie daje na oslep nura w tłum przy akompaniamencie krzyków: łapać złodzieja!" zapewniających, że szybko zostanie ujęty; raczej prosi swoją ofiarę o typy na następną gonitwę. Niedbała beztroska, całkowita normalność - oto jak tego dokonują wybitni absolwenci przestępstwa. I tak też było ze smagłym mężczyzną. Byłem przecież jedynym świadkiem jego czynu, bo dopiero teraz, zbyt późno, uświadomiłem sobie po raz pierwszy rolę, jaką tamci trzej ludzie odegrali w uśmierceniu Duclosa; nadal znajdowali się w gromadzie osób zebranych wokoło zabitego, ale ani ja, ani nikt inny nie mógł im niczego udowodnić. smagły

10 11

mężczyzna był, przekonany, iż pozostawił mnie w stanie, w którym przez dłuższy czas nie mogłem przysporzyć mu żadnych kłopotów. Puściłem się za nim.

Mój pościg nie wyglądał bynajmniej efektownie. Byłem słaby, oszołomiony, a brzuch bolał mnie tak paskudnie, że żadną miarą nie mogłem się wyprostować należycie, toteż połączenie mojego chwiejnego, zygzakowatego biegu po ruchomym chodniku z pochyleniem w przód o jakieś trzydzieści stopni musiało sprawiać, że wyglądałem kubek w kubek jak cierpiący na lumbago dziewięćdziesięciolatek, goniący Bóg wie za czym. Byłem w połowie chodnika, a smagły mężczyzna już prawie na jego końcu, kiedy instynkt czy tupot moich nóg kazał mu się obrócić z tą samą \_kocią szybkością, którą wykazał zwalając mnie z nóg przed paroma sekundami. Stało się od razu jasne, że bez trudności odróżnił mnie od wszystkich dziewięćdziesięciolatków, jakich mógł znać, bo jego lewa ręka

natychmiast poderwała do góry torbę lotniczą, a prawa wsunęła się pod jej klapę. Widziałem, że to, co przydarzyło się Duclosowi, ma przydarzyć się i mnie - ruchomy chodnik wyniosłby mnie, czy też to, co by ze mnie zostało, na podłogę u swego końca, co byłoby sromotnym rodzajem śmierci.

Zastanowiłem się przelotnie, jakie szaleństwo pobudziło mnie, bezbronnego, do pościgu za Wytrawnym mordercą mającym pistolet z tłumikiem i już miałem paść plackiem na chodnik, kiedy spostrzegłem, że tłumik drgnął, a nie zmrużone oczy smagłego mężczyzny przesunęły się nieco w lewo. Nie bacząc na prawdopodobieństwo strzału w tył głowy, obejrzałem się, by spojrzeć w tym kierunku. ,

Grupa ludzi otaczająca Duclosa przeniosła na chwilę swoje zainteresowanie z niego na nas; ponieważ musieli uważać moje wyczyny na ruchomym chodniku za niepoczytalne, byłoby dziwne, gdyby tak się nie stało. Zerknąwszy na ich twarze spostrzegłem, że maluje się na nich wyraz sięgający od zdumienia do osłupienia, nie było natomiast nawet śladu orientacji. Przynajmniej w tej grupie ludzi. Natomiast całkowitą orientację i zimne zdecydowanie wyrażały twarze trzech mężczyzn, którzy przedtem podążali za Duclosem prowadząc go na śmierć; teraz szli szybko za mną po chodniku, niewątpliwie zamierzając uczynić to samo.

Usłyszałem za sobą stłumiony okrzyk i obejrzałem się znowu. Ruchomy chodnik dotarł do końca swego przebiegu, co widać zaskoczyło smagłego mężczyznę, bo zachwiał się usiłując zachować równowagę. Tak jak mogłem się po nim spodziewać, odzyskał ją bardzo szybko, odwrócił się tyłem do mnie i zaczął biec; zabicie człowieka wobec kilkunastu świadków byłoby zupełnie inną sprawą, niż zabicie człowieka wobec jednego samotnego świadka, choć miałem niejaką pewność, że tak by zrobił, gdyby uważał to za konieczne, i do diabła ze świadkami. Zastanawianie się nad

przyczyną odłożyłem na później. Znowu zacząłem biec, tym razem znacznie bardziej zdecydowanie, już raczej jak żwawy siedemdziesięciolatek. Smagły mężczyzna, wciąż dystansując mnie, pognął prosto przez salę imigracyjną ku wyraźnemu zdumieniu i konsternacji urzędników, ponieważ nie jest przewidziane, by ludzie pędzili przez sale imigracyjne, powinni bowiem zatrzymać się, pokazać swoje paszporty i podać krótkie dane o sobie, na co właśnie są przeznaczone owe sale. Kiedy przyszła na mnie kolej przebiec tę przestrzeń, pospieszna ucieczka mężczyzny w połączeniu z moim chwiejnym, zataczającym się biegiem i pokrwawioną twarzą najwyraźniej uprzytomniła urzędnikom, że coś jest nie w porządku, bo dwaj z nich usiłowali mnie zatrzymać, ale przemknąłem się obok nich - "przemknąłem się" nie było określeniem, którego później użyli w swojej skardze - i wybiegłem przez drzwi wyjściowe, którymi przed chwilą uciekł smagły mężczyzna. To znaczy usiłowałem wybiec; bo te przeklęte drzwi były zablokowane przez osobę, która próbowała nimi wejść. Dziewczyna - oto wszystko, co miałem czas i chęć zarejestrować w pamięci - po prostu jakaś dziewczyna. Zboczyłem w prawo, a ona w lewo, zboczyłem w lewo, a ona w prawo. Stop. Takie same zjawisko można zaobserwować prawie co chwila na każdym miejskim chodniku, kiedy dwie nadmiernie uprzejmie osoby, pragnące przepuścić jedna drugą, usuwają się na bok z taką niezręczną skutecznością, że udaje im się jedynie zagrozić sobie wzajemnie drogę; w odpowiednich okolicznościach, kiedy spotykają się dwie prawdziwie nadwrażliwe dusze, całe takie kłopotliwe fandango może się ciągnąć niemal bez końca.

Tak samo jak każdy, mam szczerą podziw dla dobrze wykonanego pa de deur, ale nie byłem w nastroju sprzyjającym zatrzymywaniu mnie bez

końca, toteż po jeszcze kilku bezowocnych uskokach krzyknąłem: "Z drogi, psiakrew!" i upewniłem się, że dziewczyna tak uczyni, chwytając ją za ramię i odpychając gwałtownie na bok. Wydało mi się, że dosłyszałem łomot i krzyk bólu, ale nie zwróciłem na to uwagi; mogłem wrócić i przeprosić ją później.

Wróciłem prędzej, niż się spodziewałem. Dziewczyna kosztowała mnie nie więcej niż parę sekund, ale te parę sekund aż nadto wystarczyło smagłemu mężczyźnie. Kiedy dopadłem do głównej hali, oczywiście zatłoczonej, nie było po nim ani śladu; wśród setek tych pozornie bezcelowo kotłujących się ludzi byłoby trudno wypatrzeć nawet indiańskiego wodza w pełnym ceremonialnym stroju. I byłoby bezcelowe alarmowanie służby bezpieczeństwa lotniska, bo zanim bym się wylegitymował, ów człowiek byłby już w połowie drogi do Amsterdamu i nawet gdybym zdołał spowodować natychmiastową akcję, szanse ujęcia go były znikome; działali tutaj wysoko wykwalifikowani zawodowcy, a tacy ludzie zawsze mają szeroki wybór dróg ucieczki. Zawróciłem więc, tym razem ociężałym

12 13

krokiem, bo teraz tylko na to mogłem się zdobyć. Głowa bolała mnie dotkliwie, ale uważałem, że w porównaniu do stanu mojego brzucha byłoby niewłaściwe uskarżać się na głowę. Czuję się okropnie, a widok w lustrze mojej bladej i umazanej krwią twarzy bynajmniej nie poprawiał mi samopoczucia.

Wróciłem więc na miejsce mych baletowych wyczynów, gdzie dwaj rośli, umundurowani mężczyźni z pistoletami w kaburach chwycili mnie zdecydowanie za rękę.

- Złapaliście nie tego, co trzeba - powiedziałem ze znużeniem - więc łaskawie zdejmijcie ze mnie wasze cholerne łapy i dajcie mi odetchnąć. Zawahali się, popatrzyli po sobie, puścili mnie i odsunęli się prawie o pięć centymetrów. Spojrzałem na dziewczynę, do której przemawiał łagodnie ktoś, kto musiał być bardzo ważnym funkcjonariuszem lotniska, ponieważ nie miał na sobie munduru. Spojrzałem ponownie na dziewczynę, bo oczy bolały mnie tak samo jak głowa, a łatwiej było patrzeć na nią niż na stojącego obok niej mężczyznę.

Miała na sobie ciemną suknię i ciemny płaszcz, spod którego widać było pod szyją biały wywinięty kołnierz swetra. Musiała mieć ze dwadzieścia kilka lat, a jej ciemne włosy, piwne oczy, nieomal greckie rysy i oliwkowy odcień cery wskazywały jasno, że nie pochodzi z tych stron. Gdyby postawić ją obok Maggie i Belindy, trzeba by strawić nie tylko najlepsze lata życia, ale i większość schyłkowych, ażeby znaleźć taką trójkę, aczkolwiek, rzecz jasna, dziewczyna nie wyglądała najlepiej w tym momencie; twarz miała barwy popiołu i dużą białą chustką, zapewne pożyczoną od stojącego przy niej mężczyzny, tamowała krew, która sączyła się z puchnącego guza na lewej skroni.

- Boże kochany! - powiedziałem ze skrucą, którą istotnie odczuwałem, bo tak samo jak każdy nie mam inklinacji do uszkodzania dzieł sztuki.

- To ja zrobiłem?

- Skądże znowu. - Jej głos był niski i ochrypły, ale może tylko dlatego, że ją poturbowałem. - Zacięłam się dziś rano przy goleniu.

- Strasznie mi przykro. Goniłem człowieka, który zabił kogoś przed chwilą, i pani zastąpiła mi drogę. Obawiam się, że uciekł.

- Nazywam się Schroeder. Pracuję tutaj. - Stojący obok dziewczyny mężczyzna, twardy i wyglądający na przebiegłego osobnik po pięćdziesiątce, najwyraźniej cierpiał na to osobliwe deprecjonowanie samego siebie,



które nie wiadomo czemu nawiedza tylu ludzi osiagających wysoce odpowiedzialną pozycję. - Poinformowano nas o tym morderstwie. To godne ubolewania, ogromnie godne ubolewania. Żeby też coś podobnego zdarzyło się na lotnisku Schiphol!

- Cieszy się doskonałą opinią - przyznałem: - Mam nadzieję, że zabity szczerze się wstydy za siebie.

- Takie mówienie nic nie daje - powiedział ostro Schroeder. - Czy pan znał nieboszczyka?

- A skąd go miałem znać, u diabła? Dopiero co wysiadłem z samolotu. Proszę zapytać stewardesy, kapitana, tuzina ludzi, którzy byli na pokładzie. KL 132 z Londynu, przylot o godzinie 15.15. - Spojrzałem na zegarek.

- Mój Boże! Ledwie sześć minut temu.

- Nie odpowiedział pan na moje pytanie. - Schroeder nie tylko wyglądał na przebiegłego; był przebiegły.

- Nie poznałbym go, nawet gdybym go teraz zobaczył.

- Uhm. A czy przyszło panu kiedyś na myśl, panie...

= Sherman.

- Czy przyszło panu na myśl, panie Sherman, że normalni obywatele nie ruszają w pościg za uzbrojonym mordercą?

- Może jestem podnormalny.

- A może pan także ma broń?

Rozpiąłem marynarkę i rozchyliłem ją szeroko.

- Czy pań... przypadkiem... nie rozpoznał zabójcy?

- Nie. - Pomyślałem jednak, że nigdy go nie zapomnę. Obróciłem się do dziewczyny. - Czy mógłbym zadać pewne pytanie panno...

- Lemay - wtrącił krótko Schroeder.

- Czy pani rozpoznała zabójcę? Musiała pani dobrze mu się przyjrzeć.

Biegający ludzie zawsze zwracają na siebie uwagę.

- A czemu miałabym go znać?

Nie próbowałem być taki przebiegły jak Schroeder. Zapytałem:

- Czy zechciałaby pani rzucić okiem na zabitego? Może pani rozpozna jego?

Wzdrygnęła się i potrząsnęła głową. Wciąż nieprzebiegle spytałem:

- Pani czeka na kogoś?

- Nie rozumiem.

- Bo stała pani w wyjściu.

Znów potrząsnęła głową. Jeżeli piękna dziewczyna może wyglądać upiornie, to wyglądała upiornie.

- To dlaczego pani tu przyszła? Dla zwiedzania? Wydawałoby mi się, że sala imigracyjna na lotnisku Schiphol jest najmniej atrakcyjnym miejscem w Amsterdamie.

- Dość tego. - Schroeder był szorstki. - Pańskie pytania są bezprzedmiotowe, a ta pani jest wyraźnie wstrząśnięta. - Rzucił mi twarde spojrzenie, by mi przypomnieć, że to ja jestem odpowiedzialny za jej wstrząs.

- Przesłuchiwanie należy do funkcjonariuszy policji.

- Ja jestem funkcjonariuszem policji. - Podałem mu paszport i legitymację, i w tejże chwili Maggie i Belinda ukazały się w wyjściu.

Zerknęły w moją stronę, zwolniły kroku i popatrzyły na mnie z mieszaniną

14

15

z troski i konsternacji, co było zrozumiałe, jeżeli zważyć, jak się czułem i zapewne wyglądałem, ale ja tylko spojrzałem na nie spodobała, tak jak człowiek pokaleczony może spojrzeć na każdego, kto mu

się przypatruje, więc czym prędzej przybrały znów zwykły wyraz twarzy i poszły dalej. Obróciłem się do Schroedera, który patrzył na mnie teraz z całkiem inną miną.

- Major Paul Sherman, londyńskie biuro Interpolu. Muszę powiedzieć, że to zupełnie co innego. To także wyjaśnia, dlaczego pan zachował się jak policjant i wypytywał jak policjant. Ale będę musiał sprawdzić pańskie pełnomocnictwa, rzecz jasna.

- Niech pan sprawdza, co pan chce, u kogo się panu podoba - odparłem.

- Proponuję, żeby pan zaczął od pułkownika van de Graafa z Komendy.

- Pan zna pułkownika?

- To pierwsze lepsze nazwisko, jakie mi przyszło do głowy. Znajdzie mnie pan w barze. - Już miałem odejść, ale się zatrzymałem, gdy dwaj masywni policjanci ruszyli za mną. Popatrzyłem na Schroedera. - Nie mam zamiaru stawiać im drinków.

- W porządku - powiedział Schroeder do obu mężczyzn. - Major Sherman nie będzie uciekał.

- Przynajmniej dopóki pan ma mój paszport i legitymację - przyznałem. Spojrzałem na pannę Lemay. - Bardzo mi przykro. To musiał być dla pani wielki wstrząs, a wszystko z mojej winy. Może pani zechce napić się czegoś ze mną? Wygląda na to, że pani tego potrzeba.

Otarła policzek jeszcze raz i popatrzyła na mnie w sposób, który przekreślił wszelkie nadzieje na natychmiastową przyjaźń.

- Nie przesłabym z panem nawet na drugą stronę ulicy - odrzekła bezbarwnym głosem. Sposób powiedzenia tego wskazywał, że chętnie doszłaby ze mną do połowy ruchliwej jezdni i tam mnie zostawiła. Gdybym był niewidomy.

- Witamy w Amsterdamie - powiedziałem ponuro i powlokłem się w kierunku najbliższego baru.

## Rozdział drugi

Normalnie nie zatrzymuję się w pięciogwiazdkowych hotelach z tej prostej przyczyny, że nie mogę sobie na to pozwolić, ale kiedy przebywam za granicą, mam właściwie nieograniczone fundusze na wydatki, co do których pytania są rzadko zadawane, a odpowiedzi nigdy nie udzielane, ponieważ zaś te zagraniczne wyjazdy najczęściej bywają wyczerpujące, nie widzę powodu, żeby sobie odmawiać paru chwil spokoju i odprężenia w najbardziej komfortowych i luksusowych hotelach. Hotel "Rembrandt" był niewątpliwie taki. Dosyć okazała, choć trochę zbyt ozdobna budowla, stojąca na rogu jednego z wewnętrznych kolistych kanałów starego miasta, posiadała wspaniale rzeźbione balkony, zawieszzone wprost nad kanałem, tak że jakiś nieostrożny lunatyk mógł przynajmniej mieć pewność, że nie skreśli sobie karku wypadając z balkonu - to znaczy, o ile nie miałby nieszczęścia wylądować na dachu jednego z oszklonych stateczków wycieczkowych, które przepływają kanałem nader często; można też było mieć wspaniały widok wprost na te statki z parterowej restauracji, która utrzymywała z niejakim uzasadnieniem, że jest najlepszą w Holandii. Moja żółta taksówka marki Mercedes zajęła przed frontowe wejście, i kiedy czekałem, aby portier zapłacił kierowcy i zabrał moją walizkę, zwróciły moją uwagę dźwięki "łyżwiarskiego walca", rzępolonego w najnieznośniej fałszywy i bezbarwny sposób, jaki w życiu słyszałem. Dźwięki te dobywały się z dużej, wysokiej, ozdobnie pomalowanej i bardzo staro-

świeckiej katarynki, ustawionej na przeciwległym chodniku, w miejscu doskonale się nadającym do maksymalnego tarasowania ruchu na tej wąskiej ulicy. Pod baldachimem katarynki, sporządzonym z resztek nieznanej bliżej ilości spłowiałych parasoli plażowych, rząd lalek, pięknie wykonanych i dla mojego bezkrytycznego oka przepysznie ustrojonych w najrozmaitsze tradycyjne ubiory holenderskie, podrygiwał w górę i w dół na końcach obszytych gumą sprężyn; moc napędowa podrygiwania zdawała się pochodzić jedynie z wibracji wywołanych działaniem tego muzealnego zabytku.

17

Właściciel czy też obsługujący to narzędzie tortur był bardzo starym i mocno przygarbionym człowiekiem z kilkoma kosmykami siwych włosów, przylepionymi do głowy. Wyglądał na tak sędziwego, że sam mógłby skonstruować ową katarynkę, kiedy był w kwiecie wieku, choć najwyraźniej nie w pełni rozkwitu jako muzyk. W ręce trzymał długi kij z przymocowaną okrągłą puszką, którą ustawicznie pobrzękiwał, równie ustawicznie ignorowany przez nagabywanych przezeń przechodniów, wobec czego pomyślałem o moich elastycznych funduszach wydatkowych, przeszedłem na drugą stronę ulicy i wrzuciłem do puszek kilka monet. Nie mogę powiedzieć, żeby obdarzył mnie dziękczynnym uśmiechem, ale wyszczerzył do mnie bezzębne dziąsła i na znak wdzięczności rozkręcił katarynkę na cały regulator i rozpoczął nieszczęsną "Wesołą wdówkę". Wycofałem się w pośpiechu, podążyłem za portierem i moją walizką na schody wejściowe i obróciwszy się na górnym stopniu zobaczyłem, że dziad spogląda za mną swym starczym wzrokiem; aby nie dać się przewyższyć w uprzejmości, odwzajemniłem mu spojrzenie i wszedłem do hotelu. Kierownik siedzący za kontuarem recepcji był wysokim, ciemnowłosym mężczyzną, z cienkimi wąsikami, ubranym w nieskazitelny zakiet, a jego szeroki uśmiech miał w sobie całe ciepło i życzliwość uśmiechu zgłodniałego krokodyla - ten rodzaj uśmiechu, o którym się wie, że zniknie od razu, gdy tylko się odwrócimy, ale natychmiast znajdzie się na swoim miejscu, szerszy niż kiedykolwiek; choćbyśmy nie wiedzieć jak prędko obrócili się na powrót.

- Witamy pana w Amsterdamie - powiedział ów człowiek. - Mamy nadzieję, że pański pobyt będzie przyjemny.

Nie było żadnej właściwej odpowiedzi na taki bezmyślny optymizm, więc po prostu zachowałem milczenie i skupiłem uwagę na wypełnianiu karty meldunkowej. Wziął ją ode mnie tak, jakbym mu wręczał bezcenny diament, i skinął na chłopca hotelowego, który przydźwigał moją walizkę odchylony w bok pod kątem około dwudziestu stopni.

- Pokój 616 dla pana Shermana.

Odebrałem walizkę z rąk bynajmniej nie sprzeciwiającego się temu "chłopca". Mógłby on bez mała być młodszym bratem owego kataryniarza z ulicy.

- Dziękuję. - Wręczyłem mu napiwek. - Chyba dam sobie radę.

- Ależ ta walizka wygląda na bardzo ciężką, proszę pana. - Troskliwość, z jaką zainterweniował kierownik, była jeszcze szersza od jego powitalnej serdeczności. Walizka była istotnie bardzo ciężka; wszystkie te rewolwery, amunicja i metalowe narzędzia do otwierania najrozmaitszych rzeczy składały się na pokaźną wagę, ale nie chciałem, by jakiś spryciarz mający sprytnie pomysły i jeszcze sprytniejsze klucze otwierał walizkę i badał jej zawartość, gdy będę nieobecny. W apartamencie hotelowym

jest całkiem sporo miejsc, w których można schować niewielkie przedmioty z małym ryzykiem wykrycia, a rzadko się zdarza, żeby prowadzono pilne poszukiwania, jeżeli zostawia się walizkę starannie zamkniętą na klucz:

Podziękowałem kierownikowi za jego troskliwość, wsiadłem do pobliskiej windy i nacisnąłem guzik szóstego piętra. Gdy winda ruszyła, zerknąłem przez jedną z małych, okrągłych szybek wprawionych w drzwi. Kierownik, schowawszy już swój uśmiech, rozmawiał poważnie przez telefon.

Wysiadłem na szóstym piętrze. W niewielkiej wnęce naprzeciw drzwi windy był mały stolik z telefonem, a za stolikiem krzesło, na którym siedział młody człowiek w złotym haftowanej liberii. Nie był zbyt pociągający; miał w sobie tę nieuchwytną indolencję i bezczelność, której niepodobna przygwoździć i na którą wszelkie skargi tylko z lekka ośmieszają człowieka, tacy młodzieńcy bowiem bywają zazwyczaj wysoko wyspecjalizowanymi praktykami w sztuce pokrzywdzonej niewinności.

- Sześćset szesnasty? - zapytałem.

Leniwie, tak jak można było przewidzieć, wskazał przez ramię kciukiem.

- Drugie drzwi.

Żadnego "proszę pana", żadnych prób wstania z miejsca. Powściągnąłem pokusę rąbnienia go jego własnym stolikiem i tylko obiecałem sobie drobną, ale rozkoszną przyjemność rozprawienia się z nim przed opuszczeniem hotelu.

- Pan obsługuje to piętro? - zapytałem.

- Tak jest, proszę pana - odrzekł i wstał. Poczułem ukłucie rozczarowania.

- Proszę mi przynieść kawy.

Nie mogłem narzekać na numer 616. Nie był to pokój, tylko dość luksusowy apartament. Składał się z przedpokoju, małej, ale użytecznej kuchenki, salonu, sypialni i łazienki. Drzwi zarówno salonu, jak sypialni wychodziły na ten sam balkon. Wyrząłem nań.

Z wyjątkiem nieznośnej, olbrzymiej, neonowej potworności niebotycznej reklamy jakichś skądinąd nieszkodliwych papierosów, łuna kolorowych świateł ponad ciemniejącymi ulicami i konturami Amsterdamu miała coś z bajki, ale moi pracodawcy nie płacili mi - i nie dawali tych wspaniałych funduszy na wydatki - jedynie za przywilej rozkoszowania się widokiem jakiegokolwiek miasta, choćby najpiękniejszego. Świat, w którym żyłem, był równie daleki od świata bajek, jak najodleglejsza galaktyka na dostrzegalnym krańcu wszechświata. Poświęciłem uwagę sprawom bardziej bezpośrednim.

Spojrzałem w dół, gdzie było źródło bynajmniej nie przytłumionego hałasu ulicznego, który wypełniał dokoła powietrze. Szeroka arteria

18 19

znajdująca się wprost pode mną - i to około siedemdziesięciu stóp pode mną - zdawała się być beznadziejnie zatarasowana dzwoniącymi tramwajami, trąbiącymi samochodami i setkami skuterów i rowerów, których kierowcy najwyraźniej byli zdecydowani na niezwłoczne samobójstwo. Wydawało się nie do pomyślenia, żeby któryś z tych dwukołowych gladiatorów mógł spodziewać się polisy ubezpieczeniowej przewidującej okres życia dłuższy od pięciu minut, ale widocznie odnosili się do swego rychłego zgon z beztroską brawurą, która nigdy nie omieszka zdumieć każdego nowo przybyłego w Amsterdamie. Przyszło mi na myśl, iż należy mieć nadzieję, że jeśli ktoś wypadnie czy też zostanie zepchnięty z tego balkonu, nie będę to ja. Spojrzałem w górę. Jak już nadmieniałem, znajdowałem się na najwyższym

piętrze hotelu. Nad ceglany murkiem, oddzielającym mój balkon od balkonu sąsiedniego apartamentu, było coś w rodzaju wyrzeźbionego w kamieniu, barokowego gryfa na kamiennym filarze. A nad nim - o jakieś trzydzieści cali wyżej - biegła betonowa zrębica dachu. Wróciłem do pokoju. Wyjąłem z walizki wszystkie rzeczy, których odkrycie przez kogoś obcego uważałbym za wysoce kłopotliwe. Założyłem na ramię wyłożoną filcem kaburę z pistoletem, która jest niewidoczna pod marynarką, jeżeli ktoś ubiera się u odpowiedniego krawca, co właśnie czyniłem, i wsadziłem zapasowy magazynek do tylnej kieszeni spodni. Nigdy nie musiałem dawać więcej niż jednego strzału z tego pistoletu, a tym bardziej uciekać się do zapasowego magazynka, ale też nigdy nic nie wiadomo, sprawy wyglądają wciąż coraz gorzej. Następnie rozwinąłem opakowany w brezent zestaw przyborów włamywacza - ten pas, dzięki pomocy umiejętnego krawca, jest również niewidoczny pod marynarką - i z owej \_wymyślnej obfitości wybrałem skromny, ale podstawowy śrubokręt. Posługując się nim odjąłem tył małej przenośnej lodówki w kuchni - zdumiewająca rzecz, ile jest pustej przestrzeni nawet za małą lodówką - i tam ukryłem wszystko to, co uważałem za wskazane ukryć. Potem otworzyłem drzwi na korytarz. Kelner obsługujący. piętro był nadal na swoim stanowisku.

- Gdzie moja kawa? - spytałem. Nie był to ściśle gniewny okrzyk, ale coś dosyć zbliżonego.

Tym razem natychmiast zerwał się z miejsca.

- Przyjdzie wyciągiem. Wtedy ją przyniesie.

- Tylko szybko. - Zatrzasnąłem drzwi. Niektórzy ludzie nigdy nie potrafią nauczyć się zalet prostoty i niebezpieczeństw przesadzania. Jego sztuczne próby mówienia nieudolną angielszczyzną były równie nieefektywne jak bezcelowe.

Wyjąłem z kieszeni pęk kluczy o dosyć dziwnych kształtach i kolejno wypróbowałem je w zamku zewnętrznych drzwi. Trzeci pasował

- zdziwiłbym się, gdyby nie pasował żaden. Schowałem je do kieszeni, poszedłem do łazienki i właśnie odkręciłem prysznic do maksimum, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi, a potem odgłos ich otwierania. \_zakręciłem prysznic, zawołałem do kelnera, żeby postawił kawę na stole, i odkręciłem prysznic ponownie. Miałem nadzieję, że połączenie \_prysznicu i kawy może przekona kogoś, kogo przekonać należało, że ma do czynienia z przyzwoitym gościem przygotowującym się bez \_piechu do przyjemnego wieczorem - ale nie założyłbym się, że tak będzie. Jednakże można przecież próbować.

Usłyszałem zamknięcie zewnętrznych drzwi, ale nie zakręciłem prysznic na wypadek gdyby kelner stał z uchem przytkniętym do nich miał wygląd człowieka, który spędza dużo czasu na podsłuchiwanie pod drzwiami albo podglądaniu przez dziurki od klucza. Podeszedłem do drzwi wejściowych i schyliłem się. Nie zaglądał przez tę akurat dziurkę od klucza. Uchyliłem drzwi cofając rękę, ale nikt nie wleciał do przedpokoju, co oznaczało, że albo nikt nie miał w stosunku do mnie zastrzeżeń, albo że ktoś miał ich tak wiele, iż nie chciał ryzykować wykrycia; jedno i drugie było bardzo korzystne. Zamknąłem drzwi, schowałem do kieszeni masywny klucz hotelowy, wylałem kawę do kuchennego zlewu, zakręciłem prysznic i wyszedłem drzwiami balkonowymi. Musiałem je zostawić otwarte podsuwając ciężkie krzesło; z oczywistych przyczyn niewiele drzwi balkonowych w hotelach ma klamki od zewnątrz.

Wyjrzałem na ulicę i okna przeciwległego budynku, po czym wychyliłem się przez betonową balustradę i popatrzyłem w lewo i w prawo,

by sprawdzić, czy osoby zajmujące sąsiednie apartamenty nie spoglądają w moim kierunku. Nikogo tam nie było. Wdrapałem się na balustradę, sięgnąłem do ozdobnego gryfa, gryfa wyrzeźbionego tak wymyślnie, że zapewniał liczne uchwyty dla ręki, po czym przytrzymawszy się betonowego gzymsu wciągnąłem się na dach. Nie twierdzę, że przyjemnie mi było to robić, ale nie widziałem innej możliwości.

Płaski, porośnięty trawą dach był pusty jak okiem sięgnąć. Wstałem i przeszedłem na jego drugą stronę wymijając anteny telewizyjne, wyloty wentylacyjne oraz te osobliwe miniaturowe szklarnie, które w Amsterdamie służą za świetliki, dotarłem do drugiej krawędzi i ostrożnie wyjrzałem przez nią. Na dole była bardzo wąska i bardzo ciemna uliczka, przynajmniej w tej chwili zupełnie pusta. O kilka jardów w lewo znalazłem schodki przeciwpożarowe i zeszedłem na drugie piętro. Drzwi prowadzące ze schodków były zamknięte od wewnątrz, tak jak prawie wszystkie takie drzwi, a zamek był podwójny, ale nie stanowił przeszkody dla tych wyszukanych wyrobów żelaznych, które nosiłem przy sobie.

- Korytarz był opustoszały. Zszedłem na parter głównymi schodami, ponieważ trudno jest wysiąść niepostrzeżenie z windy, która wychodzi na

21

środek hallu recepcyjnego. Niepotrzebnie się trudziłem. Nie było ani śladu kierownika, boya hotelowego czy portiera, a co więcej, hall był zatłoczony nową partią przybyłych samolotami gości, którzy oblegali kontuar recepcyjny. Włączyłem się do tłumu przed kontuarem, uprzejmie dotknąłem ramion paru osób, wyciągnąłem między nimi rękę, położyłem na blacie klucz od mojego pokoju, skierowałem się nieśpiesznie do baru, równie nieśpiesznie przeszedłem przezeń i wydostałem się bocznym wyjściem na zewnątrz.

Po południu spadł rześisty deszcz i ulice były jeszcze mokre, ale nie było potrzeby wkładać płaszcza, który miałem ze sobą, więc przerzuciłem go przez ramię i ruszyłem ulicą bez kapelusza, spoglądając tu i tam, przystając i znowu idąc dalej, kiedy mi przyszła ochota, niejako dając się nieść wiatrowi i wyglądając - miałem nadzieję - w każdym calu na turystę, który po raz pierwszy wychodzi, aby napawać się nocnymi widokami i odgłosami Amsterdamu.

Właśnie kiedy tak wędrowałem przez Herengracht, należycie podziwiając fasady domów książąt kupieckich z siedemnastego stulecia, po raz pierwszy poczułem to dziwne mrowienie w karku. Żadna zaprawa ani doświadczenie nie wyrobi nigdy tego poczucia. Może ma to coś wspólnego z percepcją pozazmysłową. Człowiek albo się z tym rodzi, albo nie. Ja się z tym urodziłem.

Ktoś za mną szedł.

Mieszkańcy Amsterdamu, tak wybitnie gościnni pod każdym innym względem, są dziwnie niedbali, jeżeli idzie o zapewnienie swoim zmęczonym turystom - czy też swoim zmęczonym obywatelom - ławek wzdłuż brzegów kanałów. Jeżeli ktoś chce spoglądać marząco i spokojnie na ciemne, połśniewające wody kanałów w nocnej porze, najlepiej jest oprzeć się o drzewo, toteż oparłem się o jakieś dogodne drzewo i zapaliłem papierosa.

Stałem tak kilka minut mając nadzieję, że wyglądam na człowieka zadumanego nad sobą, podnosząc co jakiś czas papierosa do ust; ale poza tym zupełnie bez ruchu. Nikt do mnie nie strzelał z pistoletów z tłumikami, nikt nie podszedł z workiem piasku, aby mnie z uszanowaniem spuścić na dno kanału. Dałem temu komuś wszelkie szanse, ale z nich nie skorzystał.

A smagły mężczyzna na lotnisku miał mnie przecież na muszce, tylko nie nacisnął spustu. Nikt nie chciał mnie zlikwidować. Poprawka. Na razie nikt nie chciał mnie zlikwidować. To był przynajmniej okrucieństwo pociechy. Wyprostowałem się, przeciągnąłem i ziewnąłem rozglądając się leniwie dookoła, jak człowiek budzący się z romantycznego rozmarzenia. I rzeczywiście ktoś tam był, nie oparty jak ja o drzewo plecami, tylko ramieniem, tak że dzieliło nas to drzewo, ale było bardzo cienkie i mogłem wyraźnie rozeznaczyć frontową i tylną elewację owego człowieka.

Ruszyłem dalej, skręciłem w prawo na Leidestraat i powędrowałem, zatrzymując się od niechcenia przed wystawami. W pewnym momencie wszedłem do przedsiionka jakiegoś sklepu i popatrzyłem na wystawione tam fotografie tak wysoce specyficznej i artystycznej natury, że w Anglii właściciel owego sklepu znalazłby się w jednej chwili za kratkami. Co jeszcze bardziej interesujące, okno wystawowe stanowiło bez mała doskonałe lustro. Tamten był teraz około dwudziestu kroków ode mnie i pilnie wpatrywał się w przesłoniętą żaluzją wystawę czegoś, co mogło być sklepem z owocami. Miał na sobie szare ubranie i szary sweter i tylko tyle można było o nim powiedzieć: szara, nijaka ludzka anonimowość.

Na następnym rogu znowu skręciłem w prawo obok targu kwiatowego nad kanałem Singel. W połowie drogi przystanąłem przed straganem, obejrzałem jego zawartość i kupiłem goździk; o trzydzieści jardów ode mnie szary człowiek także oglądał stragan, lecz albo był skąpy, albo nie miał takich funduszy wydatkowych jak ja, bo nic nie kupił, tylko stał i patrzył.

Miałem nad nim trzydzieści jardów przewagi i kiedy znowu skręciłem w prawo na Vijzelstraat, ruszyłem naprzód bardzo szybko, aż dotarłem do jakiejś indonezyjskiej restauracji. Wszedłem i zamknąłem za sobą drzwi. Portier, najwyraźniej emeryt, powitał mnie dość uprzejmie, ale nie czynił żadnych prób dźwignięcia się ze swego stołka.

Popatrzałem przez drzwi i po kilku sekundach przeszedł za nimi szary człowiek. Teraz spostrzegłem, że jest starszy, niż myślałem, chyba po sześćdziesiątce, i muszę przyznać, że jak na mężczyznę w tym wieku wykazywał niezwykłą szybkość. Wyglądał na strapionego.

Włożyłem płaszcz i wymamrotałem parę przeproszających słów do portiera. Uśmiechnął się i powiedział: "Dobranoc" równie uprzejmie, jak przedtem powiedział "Dobry wieczór". Zresztą i tak lokal zapewne był pełny. Wyszedłem, przystanąłem w progu, wyjąłem zwinięty kapelusz filcowy z jednej kieszeni, a druciane okulary z innej i nałożyłem jedno i drugie. Sherman przeobrażony - miałem nadzieję.

Był teraz około trzydziestu jardów dalej i działał z dziwnym pośpiechem, zatrzymując się co chwila, by zajrzeć w jakąś bramę. Zebrałem się w sobie, puściłem się przez jezdnię i dotarłem na drugą stronę nietknięty, ale nie lubiany przez kierowców. Trzymając się nieco w tyle przeszedłem równoległe do szarego człowieka ze sto jardów, gdy nagle przystanął.

Zawahał się, a potem raptem zawrócił już prawie biegiem, ale tym razem zaglądał do każdego napotykanego lokalu. Wszedł do restauracji, którą odwiedziłem tak przelotnie, i wyszedł po dziesięciu sekundach. Wbiegł bocznym wejściem do hotelu "Carlton" i wynurzył się frontowym, co nie musiało przysporzyć mu zbyt popularności, ponieważ hotel "Carlton" nie przepada za starymi oberwańcami w wywiniętych pod szyją swetrach,

indonezyjskiej restauracji przy następnej przecznicy i pojawił się na powrót z potulnym wyrazem człowieka, którego wyrzucono za drzwi. Dał nura do budki telefonicznej, a kiedy z niej wyszedł, wyglądał na bardziej potulnego niż kiedykolwiek. Potem zajął stanowisko na centralnym przystanku tramwajowym na Muntplein. Przyłączyłem się do czekającej kolejki. Pierwszy tramwaj, trzywagonowy, miał numer 16 oraz tablicę docelową "Centraal Station". Szary człowiek wsiadł do pierwszego wagonu. Ja wsiadłem do drugiego i przeszedłem na przednie miejsce; z którego mogłem mieć nań oko, zarazem ulokowawszy się tak, żeby być możliwie najmniej dla niego widoczny, gdyby zaczął się interesować współpasażerami. Jednakże niepotrzebnie się o to troszczyłem; jego brak zainteresowania innymi pasażerami był absolutny. Sądząc po ustawicznych zmianach wyrazu jego twarzy, wszystkich znamionujących zgnębienie, oraz po splataniu i rozplataniu dłoni, miałem najwyraźniej przed sobą człowieka zaprzątniętego innymi i ważniejszymi problemami, z których nie najmniejszym było to, ile współczucia i zrozumienia może spodziewać się od swoich pracodawców.

Człowiek w szarym ubraniu wysiadł na Dam. Dam, główny plac Amsterdamu, pełen jest historycznych zabytków, takich jak pałac królewski i Nowy Kościół, który jest tak stary, że trzeba go ciągle podpierać, żeby się całkiem nie zawalił, ale tego wieczora szary człowiek nie poświęcił im nawet jednego spojrzenia.

Pośpieszył boczną ulicą mijając hotel "Krasnapolsky", skręcił w lewo, w kierunku doków, wzdłuż kanału Oudezijds Voorburgwal, następnie znów w prawo i zanurzył się w labirynt bocznych uliczek, które przenikały coraz głębiej w dzielnicę składów towarowych, jedną z nielicznych nie znajdujących się na liście turystycznych atrakcji Amsterdamu. Był najłatwiejszym człowiekiem do śledzenia, jakiego napotkałem. Nie patrzył ani w lewo, ani w prawo, a tym bardziej za siebie. Mógłbym jechać na słońcu o dziesięć kroków za nim, a nawet by tego nie zauważył.

Przystanąłem na rogu i patrzyłem, jak szedł wąską, źle oświetloną i szczególnie nieładną ulicą, mającą po obu stronach wyłącznie magazyny, wysokie, pięciopiętrowe budynki, których dwuspadowe dachy bez mała stykały się z tymi, co były naprzeciwko, wytwarzając nastrój klaustrofobicznego zagrożenia, ponurych obaw i jakiejś złowieszczej czujności, która wcale nie była mi przyjemna.

Z faktu, że szary człowiek puścił się teraz ociężałym biegiem, wywnioskowałem, iż to przesadne demonstrowanie gorliwości może oznaczać jedynie, że jest już bliski kresu swej wędrówki - i miałem rację. W połowie ulicy wbiegł na zaopatrzone w poręcz schodki, wy dobył klucz i zniknął we wnętrzu jednego z magazynów towarowych. Poszedłem dalej nieśpiesznie, ale nie zanadto powoli, i obojętnie zerknąłem na tabliczkę nad drzwiami magazynu. Widniał na niej napis: "Nlorgenstern i Muggenthaler". Nigdy nie słyszałem o tej firmie, lecz były to nazwiska, których nie mógłbym zapomnieć. Przeszedłem dalej nie zwalniając kroku.

Muszę przyznać, że ten pokój hotelowy nie był nadzwyczajny, ale też i hotel nie był nadzwyczajny. Jego front był mały, odrapany, obłazący z tynku i nie pociągający, i takie samo było wnętrze owego pokoju. Nieliczne znajdujące się w nim meble, do których należało pojedyncze łóżko oraz kanapa rozkładana do spania, zostały ciężko doświadczone przez lata, które minęły od dawno umarłych czasów ich świetności, jeżeli kiedykolwiek miały okres świetności. Dywan był przetarty, ale bez porównania mniej niż portierey i kapa na łóżku; maleńka łazienka sąsiadująca z pokojem miała metraż budki telefonicznej. Jednakże od kompletnej



katastrofy ratowały ten pokój dwa wynagradzające wszystko elementy, które nawet najbardziej ponurej celi więziennej nadałyby pewną aurę atrakcyjności. Maggie i Belinda, siedzące obok siebie na krawędzi łóżka, \_ popatrzyły na mnie bez entuzjazmu, gdy ze znużeniem sadowiłem się na Ikanapie.

- Papużki Nierozłączki - powiedziałem. -- Same jedne w zepsutym Amsterdamie. Wszystko gra?

- Nie. - W głosie Belindy była nuta stanowczości.

- Nie? - okazałem zdziwienie.

Wskazała gestem pokój. - No, bo niech pan na to popatrzy.

Popatrzyłem. - I cóż?

- Mieszkałby pan tutaj?

- No, szczerze mówiąc, nie. Ale pięciogwiazdkowe hotele są dla osób na stanowiskach kierowniczych, takich jak ja. Dla dwóch skromnych maszynistek ta kwatery jest całkowicie odpowiednia. A dwóm młodym dziewczynom, nie będącym skromnymi maszynistkami, którymi się wydają, zapewnia to tak zupełną anonimowość, jakiej tylko można zapragnąć.

- Przerwałem. - Przynajmniej mam taką nadzieję. Przypuszczam, że nikt was nie podejrzewa. Rozpoznałyście kogoś w samolocie?

- Nie - odpowiedziały jednocześnie, identycznie potrząsając głowami.

- A rozpoznałyście kogoś na Schiphol?

- Nie.

- Ktoś interesował się wami specjalnie na lotnisku?

- Nie.

- W tym pokoju jest podsłuch?

- Nie.

- Byłyście na mieście?

- Tak.

24 25

- Śledzono was?

- Nie.

- Przeszukano pokój pod waszą nieobecność?

- Nie.

- Wyglądasz na rozbawioną, Belindo - rzekłem. Nie można powiedzieć, żeby chichotała, ale miała drobne trudności z mięśniami twarzy.

- No, mów. Potrzeba mi rozweselenia.

- No, cóż... - Nagle się zastanowiła, może przypomniawszy sobie, że zna mnie bardzo mało. - Nie, nic. Przepraszam.

- Za co przepraszasz, Belindo? - Mój ojcowski i zachęcający ton miał ten osobliwy skutek, że zaczęła kręcić się niespokojnie.

- No, bo te wszystkie tajemnicze środki ostrożności dla dwóch takich dziewczyn jak my. Nie widzę potrzeby...

- Uspokój się, Belindo! - To powiedziała Maggie, zawsze chybka jak żywe srebro do obrony szefa, chociaż Bóg wie dlaczego: Miałem swoje zawodowe sukcesy, które same w sobie składały się na dosyć imponującą listę, ale listę, która bladła i traciła wszelkie znaczenie w zestawieniu z ilością porażek, tak że najlepiej było o niej zapomnieć. - Major Sherman zawsze wie, co robi - dodała Maggie surowo.

- Major Sherman - powiedziałem szczerze - oddałby swoje trzonowe

zęby, żeby w to uwierzyć. - Spojrzałem na obie dziewczyny w zamyśleniu. - Nie zmieniam tematu, ale co z odrobiną współczucia dla pokaleczzonego pana i władcy?

- Znamy swoje miejsce - odrzekła skromnie Maggie. Wstała, popatrzyła na moje czoło i usiadła na powrót. - Wie pan, to chyba bardzo mały kawałek plastra jak na tak obfite krwawienie.

- Klasy kierownicze łatwo krwawią, to zdaje się ma coś wspólnego z cienkością skóry. Słyszałyście, co się stało?

Maggie kiwnęła głową. - To straszne zabójstwo, słyszałyśmy, że pan próbował. . .

- Zainterweniować. Próbowałem, jak słusznie powiedziałaś. - Spojrzałem na Belindę. - To musiało wyrzeć na tobie ogromne wrażenie.

Pierwszy wyjazd z nowym szefem, i oto szef dostaje łupnia, ledwie postawił stopę w obcym kraju.

Mimowolnie zerknęła na Maggie, zarumieniła się - prawdziwie platynowe blondynki rumienia się bardzo łatwo - i odpowiedziała tonem obrony:

- No cóż, on był za szybki dla pana.

- Rzeczywiście był - przyznałem. - I za szybki także dla Jimmy'ego Duclosa.

- Jimmy Duclos? - Miały dar mówienia unisono.

- Ten zabity. Jeden z naszych najlepszych agentów i mój przyjaciel od wielu lat. Miał pilne i, jak przypuszczam, bardzo ważne informacje, które

chciał przekazać mi osobiście na lotnisku. Byłem w Anglii jedyną osobą, która wiedziała, że tam będzie. Ale ktoś to wiedział w tym mieście. Moje spotkanie z Duclosem zostało zaaranżowane dwoma zupełnie odrębnymi kanałami, ale \_ktoś nie tylko wiedział, że przyjeżdżam, lecz także znał dokładnie numer lotu i godzinę, więc był na miejscu, aby się dostać do Duclosa, zanim on dostanie się do mnie. Przyznasz, Belindo, że nie zmieniłem tematu? Zgodzisz się, że skoro tyle wiedzieli o mnie i jednym z moich współpracowników, mogą być równie dobrze poinformowani i o niektórych innych.

Przez chwilę popatrzały na siebie, a Belinda spytała cichym głosem:

\_ - Duclos był jednym z nas?

- Czy jesteś głucha? - odparłem z irytacją.

- I że my. . . to znaczy Maggie i ja. . .

- Właśnie.

\_ Wydały się przyjmować implikowane zagrożenie własnego życia dosyć spokojnie, ale też zostały przeszkolone do wykonywania pewnej roboty i były tu po to, by ją wykonać, a nie popadać w dziewczynskie omdlenia.

- Przykro mi z powodu pańskiego przyjaciela - powiedziała Maggie.

Kiwnąłem głową.

- A mnie jest przykro, że głupio się zachowałam - rzekła Belinda.

Mówiła szczerze, całkiem skruszona, ale nie mogło to trwać długo. Nie była tym typem. Spojrzała na mnie swymi niebywałymi, zielonymi oczyma pod ciemnymi brwiami i powiedziała z wolna:

- Oni dybią na pana, prawda?

. - Dobra dziewczynka - odrzekłem z aprobatą. - Martwi się o swego szefa. Na mnie? Ano, jeżeli nie, to w takim razie połowa personelu

w "Rembrandcie" ma na oku nie tego, kogo trzeba. Nawet boczne wejścia są obserwowane: miałem anioła stróża, kiedy wyszedłem dziś wieczorem.

- Na pewno nie doszedł za panem daleko. - Lojalność Maggie była zdecydowanie zenująca.

- Był nieudolny i rzucił się w oczy. Tak samo jak ci inni tutaj. Ludzie działający na peryferiach krainy narkotyków często bywają tacy. Z drugiej strony mogą umyślnie starać się sprowokować reakcję. Jeżeli taki jest ich

2zamiar, odniosą olśniewający sukces.

- Prowokacja? - Głos Maggie był smutny i zrezygnowany. Maggie mnie znała.

- Nieustanna. Można wleźć, wbiec czy natknąć się na wszystko. Z zamkniętymi oczami.

- To mi się wydaje bardzo mądrym czy naukowym sposobem prowadzenia śledztwa - powiedziała Belinda z powątpiewaniem. Jej skrucha szybko topniała.

- Jimmy Duclos był mądry. Najmądrzejszy, jakiego mieliśmy. I działał naukowo. Teraz jest w miejskiej kostnicy.

26 27

Belinda popatrzała na mnie dziwnie.

- I pan chce położyć głowę na topór?

- Pod topór, moja droga - poprawiła ją Maggie w zamyśleniu. - I nie mów swojemu nowemu szefowi, co może robić, a czego nie.

Jednakże nie włożyła serca w te słowa, bo w oczach miała troskę.

- To samobójstwo - upierała się Belinda.

-Tak? Przejście na drugą stronę ulicy w Amsterdamie też jest samobójstwem, albo na nie wygląda. A robią to co dzień dziesiątki tysięcy ludzi.

Nie powiedziałem im, że mam powody przypuszczać, iż mój przedwczesny zgon nie jest pierwszy na liście priorytetów u tych łajdaków

- nie dlatego, żebym pragnął umocnić mój heroiczny obraz, ale ponieważ prowadziłoby to jedynie do dalszych wyjaśnień, których chwilowo nie chciałem udzielać.

- Nie przywiózł pan nas tutaj bez potrzeby - powiedziała Maggie.

- Tak jest. Ale wszelkie deptanie po piętach należy do mnie. Wy się nie pokazujcie. Dzisiaj jesteście wolne. Jutro też, tylko chcę, żeby Belinda wybrała się ze mną wieczorem na spacer. A potem, jeżeli obie będziecie grzeczne, zabiorę was do nieprzyzwoitego nocnego lokalu.

= Przyjeżdżam aż z Paryża, żeby iść do nieprzyzwoitego nocnego lokalu? - Belinda znów była rozbawiona. - Dlaczego?

- Powiem wam, dlaczego. Powiem wam takie rzeczy o nocnych lokalach, których nie wiecie. Powiem wam, dlaczego tu jesteśmy. W istocie

- dodałem wylewnie - powiem wam wszystko. - Przez "wszystko" rozumiałem to, co moim zdaniem powinny były wiedzieć, a nie wszystko to, co było do powiedzenia; różnica jest duża. Belinda spojrzała na mnie z nadzieją, a Maggie ze znużonym, czułym sceptycyzmem. Ale Maggie mnie znała.

- Najpierw dajcie mi whisky.

- Nie mamy whisky, majorze. - Maggie miała niekiedy w sobie coś bardzo purytańskiego.

- Nie jesteś wprowadzona nawet w podstawowe zasady wywiadu.

Musisz nauczyć się czytać właściwe książki. - Skinąłem głową do Belindy.

= Telefon. Zamów. Nawet klasy kierownicze muszą od czasu do czasu się odprężyć.

Belinda wstała, wygładziła swą ciemną suknię i popatrzała na mnie z jakąś pełną zdziwienia niechęcią. Powiedziała z wolna:

- Kiedy pan mówił o swoim przyjacielu w kostnicy, obserwowałam dobrze i nic nie było po panu widać. On tam jest nadal, a pan jest teraz - jak to się mówi? - beztroski. Odprężyć się, powiada pan.

Jak pan to robi?

- Praktyka. I syfon wody sodowej.

Był to wieczór muzyki klasycznej przed hotelem "Rembrandt", bo z katarynki dobywało się takie wykonanie fragmentu Piątej Beethovena, że kompozytor padłby na kolana składając wieczyste dzięki za swoją prawie całkowitą głuchotę. Nawet z odległości pięćdziesięciu jardów, której ostrożnie przypatrywałem się poprzez lekko mżący deszcz, efekt był przeraźliwy; niezwykłym świadectwem tolerancji mieszkańców Amsterdamu, miasta miłośników muzyki oraz siedziby słynnego na cały świat koncertów, był fakt, że nie zwabili starego muzykanta do jakiejś tawerny i pod jego nieobecność nie zrzucili tej katarynki do najbliższego kanału. Staruch nadal pobrzękiwał puszką na końcu kija, czysto odruchowo; bo tego wieczora nie było w pobliżu nikogo, nawet portiera, który albo został zapędzony do wnętrza przez deszcz, albo był miłośnikiem muzyki.

Skręciłem w boczną ulicę obok wejścia do baru. Żadna postać nie czaiła się w sąsiednich bramach ani w samym wejściu do baru, i nie spodziewałem się żadnej napotkać. Poszedłem dookoła na małą uliczkę i do schodków przeciwpożarowych, wdrapałem się na dach i odnalazłem po drugiej jego stronie gzyms, który znajdował się wprost nad moim balkonem.

- Wyjrzałem przez krawędź. Nie zobaczyłem nic, ale coś poczułem. Dym – papierosowy, ale nie pochodzący z papierosa wyprodukowanego przez jedną z szanowniejszych firm tytoniowych, które nie włączają papierosów z marihuany do swoich wyrobów przeznaczonych na rynek. Wychyliłem się jeszcze bardziej, tak że o mało nie straciłem równowagi, i wtedy coś ujrzałem, niewiele, ale dość: dwa szpiczaste noski butów oraz zataczający łuk rozżarzony czubek papierosa, najwyraźniej trzymanego w opuszczonej ręce.

Cofnąłem się ostrożnie i cicho, wstałem, wróciłem do schodków przeciwpożarowych, zszedłem na szóste piętro, dostałem się do środka drzwiami prowadzącymi ze schodków, zamknąłem je na klucz, podszedłem cicho do drzwi pokoju 616 i zacząłem nasłuchiwać. Nic. Otworzyłem bezgłośnie

29

drzwi wytrychem, który już przedtem wypróbowałem, i zamknąłem je najszybciej, jak mogłem, bo niewykrywalne przeciągi mogą zwiać dym tak, że to zwróci uwagę czujnego palacza. Tyle że narkomani nie słyną z czujności.

Ten nie stanowił wyjątku. Tak jak można było przewidzieć, był to kelner z mojego piętra. Siedział wygodnie w fotelu, oparłszy stopy o próg balkonu i palił papierosa trzymanego w lewej ręce; prawa spoczywała luźno na kolanie dzierżąc rewolwer.

Normalnie jest bardzo trudno tak podejść do kogoś od tyłu, choćby najciszej, ażeby coś w rodzaju szóstego zmysłu nie ostrzegło go, że się zbliżamy, ale jest wiele narkotyków, które stępiają ten instynkt, a kelner palił właśnie taki.

Stałem za nim z rewolwerem wycelowanym w jego prawe ucho, a on wciąż nie wiedział, że tam jestem. Dotknąłem jego prawego ramienia. Okręcił się konwulsyjnym targnięciem ciała i wrzasnął z bólu, gdyż przez ten ruch jego prawe oko nadziało się na lufę mojego rewolweru. Poderwał obie ręce do uszkodzonego oka, a ja odebrałem mu broń bez oporu.

Schowałem ją do kieszeni, chwyciłem go za prawe ramię i pchnąłem mocno. Kelner wywinął kozła do tyłu i zwałił się ciężko na plecy i tył głowy. Leżał tak z dziesięć sekund, całkiem ogłuszony, po czym dźwignął się na jedną rękę. Wydawał z siebie dziwny, świszczący odgłos, jego zbieleńsze wargi odsłaniały pożółkłe od tytoniu zęby, wyszczerzone wilczym grymasem, a oczy miał pociemniałe z nienawiści. Nie widziałem większych szans na przyjacielską pogawędkę między nami.

- Ostro gramy, co? - wyszeptał. Narkomani są wielkimi amatorami filmów przemocy i dialog ich jest bezbłędny.

- Ostro? - zdziwiłem się. - Ależ skąd. Później zagramy ostro. Jeżeli nie będziesz gadał.

Możliwe, że chodziłem na te same filmy, co on. Podniosłem papierosa, który leżał tłąc się na dywanie, powąchałem go z obrzydzeniem i rozgniotłem na popielniczce. Kelner dźwignął się z trudem, wciąż jeszcze wstrząśnięty, i stanął chwiejąc się, ale ja temu nie ufałem. Kiedy przemówił znowu, wściekłość zniknęła z jego twarzy i głosu. Postanowił rozegrać to spokojnie; cisza przed burzą, stary i wyświechtany scenariusz, może obaj powinniśmy byli zacząć chodzić do opery, zamiast do kina.

- O czym pan chciałby pomówić? - zapytał.

- Na początek o tym, co robisz w moim pokoju. I kto cię tu przysłał.

Uśmiechnął się ze znużeniem. - Prawo już próbowało zmusić mnie do mówienia. Znam prawo. Pan nie może mnie zmusić. Mam swoje uprawnienia. Tak mówi prawo.

- Prawo zatrzymuje się tam przed moimi drzwiami. Po tej stronie drzwi jesteśmy obaj poza prawem. Wiesz o tym. W jednym z wielkich cywilizo-

wanych miast świata obaj żyjemy w naszej własnej, małej dżungli. ale w niej też jest jakieś prawo. Zabić ale zostać zabitym.

Może było błędem z mojej strony, że podsunąłem mu takie myśli.

Raptem przygiął się nisko, aby uchylić się spod lufy mego rewolweru, ale niedostatecznie nisko, by jego broda znalazła się poniżej mego kolana. kolano zabolalo mnie całkiem mocno, z czego wynika, że cios powinien był go powalić, ale był twardy, złapał mnie za jedną nogę, jaka pozostawała w kontakcie z podłogą, i upadliśmy obaj. Rewolwer wyleciał mi z ręki i przez chwilę turlaliśmy się po podłodze, obrabiając się nawzajem z entuzjazmem. Był silnym chłopem, równie silnym jak twardym, ale znajdował się w podwójnie niekorzystnej sytuacji: stałe palenie marihuany stępiło jego fizyczną sprawność, a chociaż posiadał wysoce rozwinięty instynkt podstępnej walki, nigdy nie został do niej rzetelnie wyszkolony. Po chwili znowu stanęliśmy na nogach, a moja lewa ręka wypchnęła jego prawy przegub w górę, gdzieś między łopatki.

Popchnąłem jeszcze wyżej, a on wrzasnął jakby w udręce, której istotnie mógł doświadczać, bo w jego ramieniu coś dziwnie chrupnęło, ale nie byłem jeszcze pewny, więc wykręciłem mu rękę trochę wyżej usuwając wszelkie wątpliwości, po czym wypchnąłem go przed sobą na balkon \_ przegiąłem przez balustradę, tak że jego stopy oderwały się od podłogi, on zaś uczepił się balustrady lewą ręką, jak gdyby jego życie od tego zależało, co było zgodne z rzeczywistością.

- Ty jesteś klient czy handlarz? - spytałem.

Wymamrotał jakieś plugawe słowo po holendersku, ale znam ten język \_ łącznie ze wszystkimi wyrazami, których nie powinienem znać. Zatkaną mu usta prawą dłonią, bo odgłos jaki miał teraz wydać, mógł być do-słyszalny nawet w hałasie ulicznym, a nie chciałem alarmować niepotrzebnie obywateli Amsterdamu. \_Zmniejszyłem nacisk i cofnąłem dłoń.

- No?
- Handlarz. - Jego głos był ochryłym łkaniem. - Sprzedaję to.
- Kto cię nasłał?
- Nie! Nie! Nie!
- Jak chcesz. Kiedy pozbierają z chodnika to, co z ciebie zostanie, pomyślą, że byłeś po prostu jeszcze jednym palaczem haszyszu, który .zanadto się podkręcił i wyruszył w podróż do nieba.
- To morderstwo! - Wciąż łkał, ale jego głos był już tylko chrapliwym szeptem; może widok przyprawiał go o zawrót głowy. - Pan tego nie .zrobi. . .
- Nie? Wasi ludzie zabili dziś po południu mojego przyjaciela. Tępienie robactwa może być przyjemnością. Siedemdziesiąt stóp w dół to długi spadek - i żadnych oznak przemocy. Tyle że będziesz miał połamane wszystkie kości. Siedemdziesiąt stóp. Patrz!

31

Wypchnąłem go trochę dalej przez balustradę, aby się lepiej przyjrzał, i musiałem użyć obydwu rąk, żeby go wciągnąć z powrotem.

--\_ Gadasz?

Coś zachrypiało mu w gardle, więc ściągnąłem go z balustrady i popchałem na środek pokoju.

- Kto cię nasłał?

Wspomniałem już, że był twardy, ale okazał się dużo twardszy, niż sobie wyobrażałem. Powinien był być przerażony i obolały, i nie mam wątpliwości, że był, ale to go nie powstrzymało od konwulsyjnego okręcania się w prawo i wrywania się z mego uchwytu. Było to tak niespodziewane, że zaskoczyło mnie zniecacka. Rzucił się na mnie znowu, nóż, który nagle pojawił się w jego lewej ręce, podniósł się, zaciekłym łukiem mierząc w punkt tuż poniżej mojego mostka. Normalnie wykonałby zapewne piękne dźwignięcie, ale okoliczności były anormalne; nie miał już ani wyczucia czasu, ani refleksu. Chwyciłem i ścisnąłem oburącz przegub ręki, w której trzymał nóż, rzuciłem się na wznak, podstawiłem pod niego wyprostowaną nogę, jednocześnie szarpnąwszy mu rękę do dołu, i przerzuciłem go przez siebie. Grzmot jego upadku wstrząsnął pokojem, a prawdopodobnie i kilkoma sąsiednimi.

Obróciłem się i zerwałem na nogi jednym ruchem, ale nie było już potrzeby pośpiechu. Leżał po drugiej stronie pokoju z głową opartą o próg balkonu. Dźwignąłem go za kłapy i głowa opadła mu do tyłu, tak że prawie dotknęła łopatek. Opuściłem go z powrotem na podłogę. Żałowałem, że nie żyje, bo zapewne posiadał informacje, które mogły być dla mnie bezcenne - ale to była jedyna przyczyna mego żalu.

Przeszukałem jego kieszenie, które zawierały sporo interesujących przedmiotów, ale tylko dwa interesujące dla mnie: pudełko do połowy napełnione robionymi ręcznie papierosami z marihuany i kilka świstków papieru. Na jednym z nich były wypisane na maszynie litery i cyfry M 00 144, na drugim dwie liczby: 910020 i 2789. Nic mi to nie mówiło, ale rozsądnie zakładając, że kelner nie nosiłby tego przy sobie, gdyby nie miało dlań jakiegoś znaczenia, schowałem papierki w bezpieczne miejsce, zapewnione mi przez usługowego krawca - małą kieszonkę przyszytą wewnątrz prawej nogawki spodni, o jakieś sześć cali powyżej kostki. Uprzątnąłem nieliczne ślady bójki, wziąłem rewolwer nieboszczyka, wyszedłem na balkon, odchyliłem się tyłem przez balustradę i cisnąłem broń w górę i w lewo. Przeleciała nad gzymsem i spadła bezgłośnie na dach o jakieś dwadzieścia stóp dalej. Wróciłem do pokoju, wrzuciłem

niedopałek papierosa do klozetu i spuściłem wodę, wymyłem popielniczkę i pootwierałem wszystkie okna i drzwi, aby mdły zapach wywietrzał jak najprędzej. Następnie powlokłem kelnera do małego przedpokoiku i otworzyłem drzwi.

Korytarz był pusty. Nasłuchiwałem bacznie, ale nie usłyszałem nic, żadnych zbliżających się kroków. Podeszedłem do windy, nacisnąłem guzik, czekałem, aż nadjechała, uchyliłem jej drzwi, wsunąłem w nie pudełko zapalek, aby się nie zatrasnęły i nie zamknęły obwodu elektrycznego, po czym pośpieszyłem z powrotem do pokoju. Przywlokłem kelnera do windy, otworzyłem drzwi, wepchnąłem go bez ceremonii do środka, wyjąłem pudełko zapalek i pozwoliłem drzwiom się zatrasnąć. Winda pozostała na miejscu; najwyraźniej nikt nie naciskał jej guzika w tej chwili.

Zamknąłem wytrychem zewnętrzne drzwi mojego apartamentu i wróciłem na schodki przeciwpożarowe, które teraz już były moim starym zaufanym przyjacielem. Zeszedłem na ulicę nie zauważony i udałem się dookoła, do głównego wejścia. Dziad z katarynką grał teraz Verdiego, który na tym paskudnie wychodził. Stary stał do mnie tyłem; wrzuciłem guldena do jego puszk. Obrócił się, aby mi podziękować, jego wargi rozchyliły się w bezzębny uśmiech, a wtedy zobaczył, kogo ma przed sobą, i szczęka na chwilę mu opadła. Był u samego dołu drabiny i nikt nie zadał sobie trudu, by go poinformować, że Sherman działa. Uśmiechnąłem się, miło do niego i wszedłem do hotelu.

Za kontuarem było kilku pracowników w liberii oraz kierownik, w tej chwili obrócony do mnie plecami. Powiedziałem głośno:

- Poproszę sześćset szesnasty.

kierownik obrócił się raptownie, z brwiami podniesionymi wysoko, ale nie dość wysoko. A potem obdarzył mnie swoim serdecznym krokodylowym uśmiechem.

Pan Sherman! Nie wiedziałem, że pan był na mieście.

-.A, tak. Przechadzka dla zdrowia przed kolacją. Wie pan, to taki stary angielski zwyczaj.

- Oczywiście, oczywiście. - Uśmiechnął się do mnie filuternie, tak by było coś trochę nagannego w tym starym angielskim zwyczaju, po czym pozwolił sobie zastąpić ten uśmiech lekko zdziwioną miną: Był jak mało kto. - Nie przypominam sobie, żebym widział pana wychodzącego.

- No, cóż - odrzekłem rozsądnie - przecież nie można wymagać, by pan przez cały czas zajmował się wszystkimi gośćmi, prawda? Odwzajemniłem mu ten jego fałszywy uśmiech, wziąłem klucz i ruszyłem ku windom. Byłem prawie w połowie drogi, gdy w hallu rozległ się przeraźliwy krzyk, po którym natychmiast zaległa cisza trwająca akurat dość długo, aby kobieta, która krzyknęła, nabrała głęboko tchu i jęła wrzeszczeć znowu. Krzyk ten wydała z siebie osoba w średnim wieku, Jaskrawo ubrana - karykatura amerykańskiej turystyki za granicą - która stała przed windą, z ustami rozwartymi w kształt krągłego "O" i oczami jak

spodki. Stojący przy niej otyły jegomość w płóciennym ubraniu usiłował ją uspokoić, ale sam nie wyglądał zbyt beztrąsko i sprawiał wrażenie, że nie miałby nic przeciwko temu, by także trochę powrzeszczeć.

Kierownik przebiegł koło mnie, a ja ruszyłem wolniej za nim. Kiedy doszedłem do windy, klęczał już przed nią, pochylony nad rozciągniętym wewnątrz ciałem martwego kelnera.

- Ojej - powiedziałem. - Myśli pan, że zasłabł?  
- Zasłabł? Zasłabł? - łypnął na mnie kierownik. - Popatrz pan co jest z jego szyją. Ten człowiek już nie żyje.  
- Boże drogi, zdaje się, że pan ma rację. - Pochyliłem się i przyjrzałem bliżej kelnerowi. - Czy ja gdzieś nie widziałem tego człowieka?  
- To kelner z pańskiego piętra - odrzekł zastępca kierownika, co nie jest łatwe do wypowiedzenia, kiedy się ma zaciśnięte zęby.  
- Wydał mi się znajomy. W kwiecie wieku... - Potrząsnąłem smutnie głową. - Gdzie jest restauracja?  
- Gdzie jest... gdzie jest co?..  
- Mniejsza z tym - powiedziałem uspokajająco. - Rozumiem, że pan jest zdenerwowany. Znajdę ją sam.  
Restauracja hotelu "Rembrandt" może i nie jest, tak jak twierdzą jej właściciele, najlepszą w Holandii, ale nie podałem ich do sądu za wprowadzanie w błąd. Od kawioru aż po świeże przedsezonowe truskawki - zastanawiałem się od niechcenia, czy policzyć to w rachunku wydatków jako reprezentację, czy jako łapówkę - jedzenie było przepyszne. Pomyślałem przelotnie, lecz bez poczucia winy, o Maggie i Belindzie, ale takie rzeczy są nieuniknione. Czerwona pluszowa kanapa, na której siedziałem, była szczytem restauracyjnego komfortu, więc rozparłem się na niej, podniosłem kieliszek koniaku i powiedziałem:  
- Za Amsterdam! .  
- Za Amsterdam! - odpowiedział pułkownik van de Graaf. Pułkownik, zastępca szefa policji miejskiej, przysiadł się do mnie bez zaproszenia zaledwie przed pięcioma minutami. Usadowił się na dużym krześle, które wydawało się za małe dla niego. Bardzo rozłożysty, choć ledwie średniego wzrostu, miał stalowo siwe włosy, głęboko pobrużdżoną, ogorzałą twarz, niewątpliwie autorytatywny sposób bycia i jakąś prawie onieśmielającą kompetentność. Mówił dalej oschle: - Rad jestem, że pan się zabawia, majorze, po dniu tak brzemienym w wydarzenia.  
"Zrywajcie różę, póki można", pułkownikowi. Życie jest takie krótkie. Jakie wydarzenia?  
- Nie zdołaliśmy dowiedzieć się wiele o tym Duclosie, którego dziś zastrzelono na lotnisku. - Pułkownik de Graaf był człowiekiem cierpliwym i niełatwo dającym się wyciągnąć na słowa. - Wiemy tylko tyle, że przybył z Anglii przed trzema tygodniami, zameldował się w hotelu "Chiller" na jedną noc, a potem zniknął. Wydaje się, majorze, że czekał na pański samolot. Czyżby to był jedynie zbieg okoliczności?  
- Czekał na mnie. - De Graaf musiał dowiedzieć się o tym wcześniej czy później. - To jeden z moich ludzi. Myślę, że musiał wytrzasnąć skądś podrobioną przepustkę policyjną... to znaczy, żeby przejść przez strefę imigracyjną.  
- Zaskakuje mnie pan. - Westchnął ciężko i nie wydawał się ani trochę zaskoczony. - Drogi przyjacielu, to bardzo utrudnia nam sprawę, jeżeli nie wiemy tych rzeczy. Powinienem być zostać poinformowany o Duclosie. skoro mamy instrukcje z Interpolu w Paryżu, żeby udzielać panu wszelkiej możliwej pomocy, to czy pan nie uważa, że byłoby lepiej, gdybyśmy ze sobą współpracowali? My możemy pomóc panu, pan może pomóc nam.  
- Pociągnął koniaku. Jego szare oczy patrzyły bardzo bacznie. - Można domniemywać, że ten pański człowiek miał jakieś informacje, które teraz przepadły.  
- Możliwe. No więc, zacznijmy od tego, żeby pan mi dopomógł. Mógłby pan sprawdzić, czy macie w swoich aktach niejaką pannę Astrid Lemay? Pracuje w nocnym lokalu, ale nie mówi jak Holenderka i nie



\_\_wygląda na Holenderkę, więc może coś macie na jej temat.

- To ta dziewczyna, którą pan przewrócił na lotnisku? Skąd pan wie, że "pracuje w nocnym lokalu?"

- Sama mi powiedziała - odrzekłem bez zmruczenia oka.

: Zmarszczył brwi. - Funkcjonariusze lotniska nie wspomnieli mi, żeby coś takiego mówiła.

- Funkcjonariusze lotniska to kupa starych bab.

- A! - Mogło to oznaczać wszystko. - Tę informację mogę uzyskać.

Nic więcej?

- Nic więcej.

- Nie wspomnieliśmy o innym drobnym wydarzeniu.

. - Słucham.

- Ten kelner z szóstego piętra... nieciekawyy typ, o którym coś niecoś wiemy. . . to nie był pański człowiek?

- Pułkownik!

- Nie myślałem tak ani przez chwilę. Czy pan wiedział, że poniósł śmierć wskutek pęknięcia karku?

- Musiał mieć bardzo ciężki upadek - powiedziałem ze współczuciem.

De Graaf dopił koniaku i wstał.

\_ - Nie zaznajomiliśmy się jeszcze z panem, majorze, ale za długo pan jest w Interpolu i zyskał pan sobie w Europie za wielką reputację, abyśmy nie byli zaznajomieni z pańskimi metodami. Czy wolno mi przypomnieć panu, że to, co uchodzi w Stambule, w Marsylii i Palermo - żeby wymienić tylko te kilka miejsc - nie uchodzi w Amsterdamie?

34 35

- Daję słowo, pan rzeczywiście jest dobrze poinformowany - powiedziałem.

- Tu, w Amsterdamie, wszyscy podlegamy prawu. - Zdawało się, że mnie nie słyszał. - Ze mną włącznie. Pan nie jest wyjątkiem. ,

- I nie spodziewałbym się tego - powiedziałem cnotliwie. - A zatem współpracujemy. R teraz cel mojej wizyty. Kiedy mogę z panem pomówić?

- W moim biurze, godzina dziesiąta. - Rozejrzał się bez entuzjazmu po restauracji. - To nie jest miejsce ani pora.

Uniosłem brew.

- Hotel "Rembrandt" - powiedział ociężałe de Graaf - jest punktem podsłuchowym o światowej renomie.

- Pan mnie zdumiewa - odrzekłem.

De Graaf wyszedł. Zastanowiłem się, co mu się, u diabła, zdawało - że niby czemu wybrałem sobie hotel "Rembrandt"?

Gabinet pułkownika de Graafa w niczym nie przypominał hotelu "Rembrandt". Był to dość duży pokój, ale ponury, goły i funkcjonalny, umeblowany głównie stalowoszarymi szafkami na akta, ze stalowoszarym stołem i stalowoszarymi fotelami, które były twarde jak stal. Ale przynajmniej ten wystrój zmuszał człowieka do koncentrowania się na omawianej sprawie; nie było tam niczego, co odciągałoby uwagę czy wzrok. De Graaf i ja, po dziesięciu minutach wstępnej rozmowy, właśnie się koncentrowaliśmy, choć sądzę, że przychodziło to łatwiej de Graafowi niż mnie. Poprzedniej nocy nie mogłem zasnąć do późna, a nigdy nie jestem w najlepszej formie o godzinie dziesiątej w zimny i wietrzny ranek.

- Wszelkie narkotyki - zgodził się de Graaf. - Oczywiście interesują nas wszelkie narkotyki: opium, haszysz, amfetamina, LSD, STP, kokaina, octan amylu - co pan tylko chce, panie majorze - i tym się zajmujemy.

Wszystkie te środki niszczą albo prowadzą do zniszczenia. Ale w tym przypadku ograniczamy się do naprawę groźnego - do heroiny. Zgoda?

- Zgoda - ozwał się od progu niski, ostry głos. Obróciłem się i popatrzyłem na człowieka, który tam stał, wysokiego mężczyznę w dobrze skrojonym, ciemnym garniturze, z chłodnymi, przenikliwymi, szarymi oczami, sympatyczną twarzą, która bardzo szybko mogła przestać być sympatyczna, wyglądającego bardzo fachowo. Nie było wątpliwości co do jego zawodu. Policjant, i to nie taki, którego można by lekceważyć. Zamknął drzwi i podszedł do mnie lekkim, sprężystym krokiem człowieka mającego znacznie mniej niż czterdzieści kilka lat, chociaż co najmniej tyle sobie liczył. Wyciągnął rękę i powiedział:

- Van Gelder. Wiele o panu słyszałem, panie majorze.

Zastanowiłem się krótko, ale dokładnie, postanowiłem wstrzymać się od komentarza, uśmiechnąłem się i ucisnąłem mu dłoń.

36

= Inspektor van Gelder - przedstawił go de Graaf., - Szeft naszego wydziału do spraw narkotyków. Będzie z panem pracował; majorze. Zapewni panu najlepszą współpracę, jaka jest możliwa.

- Mam szczerą nadzieję, że będzie nam się dobrze razem pracowało.

- Van Gelder uśmiechnął się i usiadł. - Niech pan mi powie, coście \_działali u siebie? Myśli pan, że możecie zlikwidować w Anglii siatkę dostawy narkotyków?

- Chyba tak. Jest to świetnie zorganizowany kanał dystrybucyjny, bardzo silnie zespolony, prawie bez żadnych luk - i właśnie dlatego zdołaliśmy \_identyfikować dziesiątki handlarzy oraz kilku głównych dystrybutorów.

- Możecie zlikwidować tę siatkę, ale nie chcecie. Zostawiacie ją w całkowitym spokoju?

- A cóż innego można zrobić, inspektorze? Zlikwidujemy ją, to następna zejdzie tak głęboko w podziemie, że nigdy jej nie znajdziemy. A tak możemy ich wyłapywać, kiedy nam się spodoba. Najbardziej zależy nam na wykryciu, jak to draństwo dostaje się do kraju, i kto go dostarcza.

- I pan przypuszcza - rzecz jasna, bo inaczej nie byłby pan tutaj - że dostawy idą stąd? Albo z tego rejonu.

- Nie z tego rejonu. Stąd. I wcale nie przypuszczam. Ja to wiem. osiemdziesiąt procent osób będących pod obserwacją - a mam na myśli dystrybutorów i ich pośredników - ma powiązania z tym krajem. Ściśle \_mówiąc, z Amsterdamem - prawie wszyscy. Mają tu krewnych albo przyjaciół. Mają tutaj kontakty albo też osobiście prowadzą interesy czy \_przyjeżdżają tu na wakacje. Poświęciliśmy pięć lat na zgromadzenie tego dossier.

De Graaf uśmiechnął się. - Dotyczącego miejsca, które pan nazywa "tutaj".

- Tak, Amsterdamu.

- A czy są kopie tych akt? - zapytał van Gelder.

- Jedna.

- U pana?

= Tak.

- Ma ją pan przy sobie?

- W jedynym bezpiecznym miejscu. - Dotknąłem palcem swojej głowy.

- Najbezpieczniejszym - przyznał de Graaf, po czym dodał w zamyśleniu: - Oczywiście dopóki nie napotka pan ludzi, którzy mogą być

skłonni potraktować pana tak, jak pan traktuje ich.

- Nie rozumiem, pułkowniku.

- Mówię zagadkami - odrzekł uprzejmie de Graaf. - Więc dobrze, zgoda. W tej chwili palec wskazuje Holandię. Nie owijając w bawełnę, tak jak i pan nie owija w bawełnę, wskazuje Amsterdam. My także znamy

37

naszą nieszczęsną opinię. Chcielibyśmy, żeby nie była prawdziwa. Ale jest. Wiemy, że ten towar przychodzi tu hurtowo. Wiemy, że wychodzi porozdzielany, ale nie mamy pojęcia, skąd ani jak.

- To już wasze podwórko - odrzekłem łagodnie.

- Nasze co?

- Wasza dziedzina. Dzieje się to w Amsterdamie. Wy stoicie na straży prawa w Amsterdamie.

- Czy pan pozyskuje sobie przyjaciół w ciągu roku? - zapytał uprzejmie van Gelder.

- Nie pracuję w tym zawodzie po to, aby pozyskiwać sobie przyjaciół.

- Pracuje pan w tym zawodzie, ażeby niszczyć ludzi, którzy niszczą innych ludzi - powiedział pojednawczo de Graaf. - My wiemy o panu. Mamy wspaniałe dossier na pański temat. Chciałby pan go obejrzyć?

- Historia starożytna mnie nudzi.

- No tak - westchnął de Graaf. - Niech pan posłucha, majorze.

Najlepsza policja na świecie może natrafić na betonowy mur. Tak było z nami, a wcale nie twierdzę, że jesteśmy najlepsi. Potrzeba nam tylko jednej nici - jednej jedynej nici... A może pan ma jakiś pomysł, jakiś plan?

-Przyjechałem dopiero wczoraj. - Sięgnąłem do wnętrza prawej nogawki spodni i podałem pułkownikowi dwa kawałki papieru, które znalazłem w kieszeni zmarłego kelnera. - Te litery. Te liczby. Czy one coś panom mówią?

De Graaf zerknął pobieżnie na papierki, podniósł je do jasnej lampy biurkowej i odłożył.

- Nie.

- A nie możecie się dowiedzieć? Czy mają jakieś znaczenie?

- Mam bardzo sprawny personel. Ą propos, skąd pan to wziął?

- Dał mi to pewien człowiek.

- Chce pan powiedzieć, że pan to zabrał pewnemu człowiekowi.

- Co za różnica?

- Może być bardzo duża różnica. - De Graaf pochylił się do przodu, jego twarz i głos były bardzo poważne. - Niech pan posłucha, majorze, znana jest nam pańska technika wytrącania ludzi z równowagi. Wiemy o pańskiej skłonności do wykraczania poza prawo...

- Panie pułkowniku!

- Bardzo istotne. Trzeba zacząć od tego, że pan zapewne nigdy nie pozostaje w jego ramach. Wiemy o tej świadomej polityce - równie skutecznej, jak samobójczej - nieustannego prowokowania w nadziei, że coś czy ktoś gdzieś pęknie. Ale proszę pana, majorze, bardzo proszę, żeby pan nie usiłował prowokować zbyt wielu ludzi w Amsterdamie. Mamy tu za dużo kanałów.

- Nie chcę nikogo prowokować - odparłem. - Będę bardzo ostrożny.

- jestem tego pewny - westchnął de Graaf. - A teraz, jak mi się zdaje, inspektor van Gelder ma panu parę rzeczy do pokazania.

Miał rzeczywiście. Zawiózł mnie swoim czarnym oplem z komendy

policii na Marnirstraat do miejskiej kostnicy, i kiedy stamtąd wychodziłem; rozmyślałem, że wolałbym, aby tego nie zrobił.

Kostnicy miejskiej brakowało staroświeckiego uroku, romantyzmu i nostalgicznego piękna starego Amsterdamu. Była taka sama jak kostnica w każdym dużym mieście, zimna - ogromnie zimna - niehumanitarna i odstręcająca. Pośrodku centralnej sali znajdowały się dwa rzędy białych płyt z czegoś, co wyglądało na marmur, a prawie na pewno nim nie było, po bokach zaś szereg bardzo dużych, metalowych drzwi. Głównym pracownikiem, ubranym w nieskazitelny, wykrochmalony, olśniewająco biały kitel, był wesoły, rumiany, sympatyczny facet, który wyraźnie miał skłonność do ustawicznego \_wybuchania gromkim śmiechem, co można było uważać za dość osobliwą właściwość u pracownika kostnicy, dopóki człowiek sobie nie przypomniał, że w dawnych czasach wielu angielskich katów uważano za najbardziej uciesznych kompanów w tawernach, jakich można było znaleźć.

Na prośbę van Geldera poprowadził nas do jednych z tych dużych, metalowych drzwi, otworzył je i wyciągnął metalowy wózek, który toczył się gładko na stalowych kółkach. Leżała na nim postać ludzka, przykryta białym prześcieradłem.

- Kanał, w którym go znaleźiono, nazywa się Croquiskade - powiedział van Gelder. Wydawał się wcale nie przejęty. - Nie można go 'nazwać amsterdamską Park Lane. Jest w okolicy doków. Hans Gerber. Lat dziewiętnaście. Nie pokażę panu jego twarzy. Za długo leżał w wodzie.

\_ Znalazła go straż pożarna, kiedy wyławiła samochód. Mógł tam przeleżeć jeszcze rok albo i dwa. Ktoś okręcił go w pasie starymi ołowianymi rurami. Uniósł róg prześcieradła i odsłonił zwisającą, wychudzoną rękę.

Wyglądała zupełnie tak, jakby ktoś po niej deptał w górskich butach nabijanych gwoździami. Dziwne fioletowe linie łączyły wiele owych ukłuc, a cała ręka była sina. Van Gelder zakrył ją bez słowa i odwrócił się. Pracownik wtoczył wózek z powrotem, zamknął drzwi, poprowadził nas do następnych i znowu wytoczył inne zwłoki uśmiechając się przy tym szeroko, jak zbankrutowany ksiądz angielski oprowadzający publiczność po swoim historycznym zamku.

- Jego twarzy też panu nie pokażę - powiedział van Gelder. - Nie jest przyjemnie patrzeć na dwudziestotrzyletniego chłopaka, który ma twarz siedemdziesięcioletniego starca. - Obrócił się do pracownika. - A tego gdzie znaleźiono?

- Na Oosterhook - rozpromienił się tamten. - Na węglowej barce.

Van Gelder kiwnął głową. - Słusznie. Z butelką dżinu - pustą butelką obok niego: Cały dżin miał w sobie. Pan wie, jaką wspaniałą kombinacją

38 39

jest heroina i dżin. - Odciągnął prześcieradło odsłaniając rękę podobną do tej, którą widziałem przed chwilą. - Samobójstwo czy morderstwo?

- To zależy.

- Od czego?

- Od tego, czy sam kupił dżin. Wtedy byłoby samobójstwo - albo przypadkowa śmierć. ale ktoś mógł mu wetknąć butelkę do ręki. Wtedy byłoby morderstwo. W zeszłym miesiącu mieliśmy właśnie taki przypadek w porcie londyńskim. Nigdy nie będziemy wiedzieli.

Na znak van Geldera pracownik kostnicy poprowadził nas radośnie do płyty znajdującej się pośrodku sali. Tym razem van Gelder odciągnął prześcieradło od góry. Dziewczyna była bardzo młoda, bardzo ładna i miała złote włosy.

- Piękna, prawda? - powiedział van Gelder. - Żadnego śladu na

twarży. Julia Rosemeyer ze wschodnich Niemiec. Wiemy o niej tylko tyle i więcej nie będziemy wiedzieli. Doktorzy ją oceniają na szesnaście lat.

- Co jej się stało?

- Wypadła z szóstego piętra na betonowy chodnik.

Pomyślałem przelotnie o eks-kelnerze i o tym, że znacznie lepiej wyglądałby na tej płycie, i spytałem:

- Zepchnięto ją?

- Wypadła. Są świadkowie. Wszyscy byli podkręceni. Przez całą noc mówiła, że chce polecieć do Anglii. Miała jakąś obsesję, żeby poznać królową. Nagle wdrapała się na parapet balkonu, powiedziała, że leci do królowej = no i poleciała. Na szczęście nikt akurat nie przechodził na dole. Chce pan zobaczyć więcej?

= Chciałbym napić się czegoś w najbliższym barze, jeżeli pan nie ma nic przeciwko temu.

-Nie mam. - Uśmiechnął się, ale nie było nic wesołego w tym uśmiechu. - Przy kominku u mnie w domu. To niedaleko stąd. Mam swoje powody.

= Jakie?

- Zobacz pan.

Podziękowaliśmy i pożegnaliśmy się z radośnie uśmiechniętym pracownikiem kostnicy, który wyglądał tak, jakby chciał powiedzieć: "Wracajcie szybko", lecz tego nie powiedział. Od wczesnego rana niebo pociemniało i deszcz zaczynał padać dużymi, rzadkimi kroplami. Horyzont na wschodzie był sinofioletkowy, jakiś groźny i złowieszczy. Rzadko zdarzało się, żeby niebo tak dokładnie odzwierciedlało mój nastrój.

Pokój z kominkiem u van Geldera mógł zakasować większość znanych mi barów angielskich; niczym oaza wesołego światła w zestawieniu z deszczem lejącym na dworze i pomarszczonymi strugami wody spływającymi

po szybach, był ciepły, przytulny, wygodny i swojski, z nieco ciężkimi, holenderskimi meblami i nazbyt grubo wyściełanymi fotelami; mam jednak wielką słabość do grubo wyściełanych foteli, ponieważ nie uwierają tak jak wyściełane za cienko. Na podłodze leżał ciemnoczerwony dywan, a ściany były pomalowane w rozmaite odcienie ciepłych pastelowych barw. Kominek był taki jak należy, a zauważyłem ku swemu zadowoleniu, że van Gelder, z namysłem studiuje nader dobrze zaopatrzoną szklaną szafkę z trunkami.

- No, zawiózł mnie pan do tej choleralnej kostnicy, żeby jakąś rzecz udowodnić - powiedziałem. - Zapewne pan to zrobił. O co chodziło? "

- Rzeczy, nie rzecz. Pierwszą było przekonanie pana, że mamy tu do 'czynienia z paskudniejszym problemem niż wy u siebie. Tam, w tej kostnicy, jest jeszcze z pół tuzina narkomanów, a nikt nie wie, ilu umarło śnłercią naturalną. Nie zawsze bywa tak źle jak teraz, te zgony przychodzą jakby falami, ale jednak to jest niedopuszczalna liczba ofiar, i to głównie ' młodych ofiar; a na każdego, kto tam leży, ile setek nieuleczalnych nałogowców dalej chodzi po ulicach?

- Idzie panu o to, że macie jeszcze większe bodźce niż ja, by odnajdować i niszczyć tych ludzi, i że atakujemy wspólnego wroga, centralne źródło dostaw?

- Każdy kraj ma tylko jednego króla.

- A ta druga rzecz?

- Wzmocnienie przestrogi pułkownika de Graafa. Ci ludzie są absolutnie bezwzględni. Jeżeli pan będzie zanadto ich prowokował czy dotrze za blisko nich... no cóż, w kostnicy zostało jeszcze kilka płyt.

- Co z tym drinkiem? - zapytałem.

\_ W hallu zadzwonił telefon. Van Gelder przeprosił mnie i wyszedł go odebrać. W chwili, gdy zamykały się za nim drzwi, otworzyły się drugie i do pokoju weszła dziewczyna. Była wysoka i smukła, dwudziestoparoletnia ubrana w wielobarwny szlafrok wyszywany w smoki, sięgający jej prawie do kostek. Była piękna, z włosami koloru lnu, owalną twarzą i ogromnymi fiołkowymi oczyma, które zdawały się być zarazem wesołe i baczne, a wygląd jej był tak urzekający, że minęła dłuższa chwila, nim przypomniałem sobie o swoim dobrym wychowaniu, i dźwignąłem się na nogi, co nie było łatwe do wykonania z głębin tego przepastnego fotela.

- Dzień dobry - powiedziałem. - Paul Sherman. - Nie było to wiele, ale nie przyszło mi na myśl nic innego do powiedzenia.

Dziewczyna, jakby zakłopotana, przez chwilę posysała czubek kciuka, po czym odsłoniła w uśmiechu śliczne zęby.

= Ja jestem Trudi. Nie mówię dobrze po angielsku. - I rzeczywiście tak było, ale miała najładniejszy głos do mówienia niedobrą angielszczyzną, . jaki słyszałem od bardzo dawna. Podeszedłem z wyciągniętą ręką, ale

40 41

dziewczyna nie uczyniła żadnego ruchu, aby ją ująć; przytknęła tylko dłoń do ust i zachichotała wstydliwie. Nie jestem przyzwyczajony, żeby dorosłe dziewczyny chichotały do mnie wstydliwie, toteż poczułem niemałą ulgę, gdy usłyszałem dźwięk odkładanej słuchawki i głos van Geldera, który wchodził z hallu.

- To tylko zwykły meldunek z lotniska. Jeszcze nie ma nic, co by...

Van Gelder spostrzegł dziewczynę, przerwał, uśmiechnął się i objął ją za ramię.

- Widzę, żeście się już poznali.

- No, niezupełnie... - odrzekłem i przerwałem z kolei, gdyż Trudi podniosła głowę i zaczęła coś mu szeptać do ucha, zerkając na mnie kątem oka. Van Gelder uśmiechnął się i kiwnął głową, a Trudi szybko wyszła z pokoju. Na mojej twarzy musiało się odmalować zaskoczenie, bo van Gelder uśmiechnął się znowu, ale ten uśmiech nie wydał mi się zbyt wesoły.

- Zaraz wróci, majorze. Z początku jest nieśmiała przy obcych. Tylko z początku.

Tak jak zapowiedział, Trudi wróciła prawie natychmiast. Trzymała w rękach bardzo dużą lalkę, zrobioną tak wspaniale, że na pierwszy rzut oka mogła się wydać żywym dzieckiem. Miała prawie trzy stopy wysokości, biały czepiec okrywający lniane loki tego samego koloru, co Trudi, \_ sięgająca do kostek, sutą jedwabną spódnicę i przepięknie haftowany stanik. Trudi tuliła tę lalkę tak mocno, jakby ta naprawdę była dzieckiem. Van Gelder znowu objął ją za ramiona.

- To moja córka, Trudi. A to jest mój przyjaciel, major Sherman z Anglii. Tym razem podeszła bez wahania, wyciągnęła rękę, uczyniła lekki, urywany ruch, jakby początek dygu, i uśmiechnęła się.

- Dzień dobry, panie majorze.

Nie chcąc się przewyższać w uprzejmości, uśmiechnąłem się i skłoniłem lekko.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

- Cała przyjemność? - Obróciła się i spojrzała pytająco na van Geldera.

- Język angielski nie należy do-mocnych stron Trudi - wyjaśnił van Gelder. - Niechże pan siada, majorze, proszę bardzo.

Wyjął z szafki butelkę scotcha, nalał mnie i sobie, podał mi szklanę i opadł z westchnieniem na fotel. Potem spojrzał na córkę, która wpatrywała się we mnie w taki sposób, że poczułem się trochę skrępowany.

- Nie usiądziesz, kochanie?

Obróciła się do van Geldera, uśmiechnęła promiennie, kiwnęła głową i podała mu ogromną lalkę. Przyjął ją z taką gotowością, iż było oczywiste, że już przywykł do tego.

- Tak, papo - powiedziała, a potem ni stąd, ni zowąd, ale zarazem tak swobodnie, jakby to była najnaturalniejsza rzecz w świecie, usiadła mi na kolanach, objęła za szyję i uśmiechnęła się do mnie. Odwzajemniłem jej się uśmiechem, chociaż przez chwilę był to herkulesowy wysiłek.

Przyjrzała mi się uroczyście i powiedziała:

- Lubię pana.

- Ja ciebie też, Trudi. - Ścisnąłem jej ramię, aby pokazać, jak bardzo ją lubię. Uśmiechnęła się, położyła mi głowę na ramieniu i przymknęła oczy. Przez chwilę patrzyłem na czubek tej złotowłosej głowy, po czym spojrzałem pytająco na van Geldera. Uśmiechnął się, uśmiechem pełnym smutku.

- Jeżeli to pana nie rani, majorze, Trudi lubi każdego.

- Tak jest ze wszystkimi dziewczętami w pewnym wieku.

- Pan jest niezwykle bystrym człowiekiem.

Nie sądziłem, żeby ta moja wypowiedź wymagała jakiejś wielkiej bystrości, więc nic nie odrzekłem, tylko uśmiechnąłem się i zwróciłem do dziewczyny. Powiedziałem bardzo łagodnie:

- Trudi. . .

, Milczała. Poruszyła się tylko i uśmiechnęła znowu, uśmiechem tak dziwnie zadowolonym, że z jakiejś niejasnej przyczyny poczułem się po trosze oszustem, a potem zacisnęła powieki jeszcze mocniej i przytuliła się do mnie. Popróbowiałem znowu.

- Trudi, jestem pewien, że musisz mieć piękne oczy. Czy mógłbym je zobaczyć?

Zastanowiła się nad tym chwilę, uśmiechnęła znowu, wyprostowała, odsunęła się na długość ręki położywszy mi dłonie na ramionach, a potem " otworzyła oczy szeroko, tak jak dziecko, kiedy je o to proszą.

Te wielkie fiołkowe oczy były bez wątpienia piękne. Ale było w nich coś jeszcze. Szkliste, puste, zdawały się nie odbijać światła; błyszczały, ale błyskiem, który zwodniczo ozdobiłby każdą jej fotografię, bo był tylko powierzchowny; za nim tała się jakaś dziwna matowość.

Zdjąłem łagodnie jej prawą rękę z mojego ramienia i podciągnąłem : rękaw do łokcia. Sądząc po reszcie jej ciała, powinno to być piękne przedramię, ale nie było; widniały na nim okropne ślady pozostałe po niezliczonych ukłuciach igłami strzykawek. Trudi, z drżącymi wargami, popatrzała na mnie przestraszona, jak gdyby obawiała się nagany, ściągnęła w dół rękaw, zarzuciła mi ręce na ramiona, wtuliła twarz w moją szyję i zaczęła płakać. Płakała, jakby jej serce miało pęknąć. Pogładziłem ją tak kojąco, jak można pogłodzić kogoś, kto najwyraźniej zamierza nas udusić, i spojrzałem na van Geldera.

- Teraz rozumiem pańskie powody - rzekłem. - Że pan nalegał, abym tu przyszedł.

42 43

- Przykro mi . Teraz pan wie

- I to jest trzecia rzecz?

- Tak jest. Bóg świadkiem, że wolałbym nie musieć tego robić. Ale rozumie pan, że przez lojalność wobec moich kolegów winienem informować ich o tych sprawach.

- De Graaf wie?

- Wie każdy wyższy funkcjonariusz policji w Amsterdamie - odpowiedział prosto van Gelder. - Trudi!

Jedyną jej reakcją było ściśnięcie mnie jeszcze mocniej. Zaczynałem cierpieć na niedotlenienie.

- Trudi! - Van Gelder powtórzył to natarczywiej. - Masz sypiać po południu. Wiesz, co powiedział doktor. Do łóżka!

- Nie - załkała. - Nie chcę do łóżka.

Van Gelder westchnął i podniósł głos:

- Herta!

Tak jakby czekała na wezwanie - co zapewne czyniła podsłuchując pod drzwiami - do pokoju weszła najdziwaczniejsza istota. Była to ogromna i niebywale tłusta, tocząca się kobieta - nazwanie chodem jej metody poruszania się byłoby grubą przesadą - ubrana dokładnie tak samo jak lalka Trudi. Długie, jasne warkoczki, przewiązane kolorowymi wstążkami, zwisały na jej obfitych biustach. Twarz miała starą = musiała mieć przeszło siedemdziesiątkę - głęboko pobruźdowaną, wyglądającą jak spękana brunatna skóra. Kontrast pomiędzy wesołym, barwnym strojem i warkoczami a tą opasłą, starą wiedźmą, która je nosiła, był dziwaczny, okropny; tak groteskowy, że prawie obrzydliwy, ale nie wydawał się budzić takiej reakcji ani u van Geldera, ani u Trudi.

Starucha przeszła przez pokój - mimo swej tuszy i kaczego dreptania dokonała tego całkiem prędko - kiwnęła mi krótko głową i bez słowa położyła łagodnie, ale stanowczo dłoń na ramieniu Trudi. Ta od razu podniosła oczy, łzy zniknęły z nich równie szybko, jak napłynęły, uśmiechnęła się, kiwnęła potulnie głową, zdjęła rękę z mej szyi i wstała. Podeszła do van Geldera, odebrała swą lalkę, pocałowała go, zbliżyła się do mnie, ucałowała mnie równie naturalnie jak dziecko na dobranoc i prawie wybiegła z pokoju, a Herta wytoczyła się tuż za nią. Wydałem długie westchnienie i ledwie się powstrzymałem od otarcia czoła.

- Powinien pan być mnie uprzedzić - powiedziałem z wyrzutem.

- O Trudi i o tej Hercie. Kim ona w ogóle jest - to znaczy Herta? Niańką?

- Starą służebną, jak byście powiedzieli w Anglii. - Van Gelder pociągnął długi łyk whisky, tak jakby tego bardzo potrzebował, a ja zrobiłem to samo, bo było mi potrzebne jeszcze bardziej; bądź co bądź on już przywykł do takich rzeczy.

- To jest stara gospodyni moich rodziców, z wyspy Huyler na Zuider Zee. Zapewne pan zauważył, że oni tam są - jak by to powiedzieć

- trochę konserwatywni, jeżeli idzie o strój. Ona jest u nas dopiero od paru miesięcy, ale sam pan widzi, jaki ma stosunek do Trudi.

- A Trudi?

- Trudi ma osiem lat. Ma osiem lat już od lat piętnastu i zawsze będzie miała tyle. Nie jest moją córką, jak pan się może domyślił, ale nie mógłbym bardziej kochać własnej córki. Jest adoptowaną córką mojego brata.

Pracowałem z nim w Curacao do ubiegłego roku - ja zajmowałem się narkotykami, a on był funkcjonariuszem bezpieczeństwa w holenderskiej spółce naftowej. Jego żona umarła przed paru laty, a potem on sam i moja żona zginęli zeszłego roku w wypadku samochodowym. Ktoś musiał zabrać do siebie Trudi. Ja to zrobiłem. Nie chciałem jej wziąć - a teraz nie potrafiłbym żyć bez niej. Ona nigdy nie dorośnie, panie majorze.

I przez cały ten czas jego podwładni zapewne myśleli, że jest ich



; szczęśliwym przełożonym, nie mającym żadnych innych trosk ani zmartwień poza wsadzaniem za kratki możliwie jak najliczniejszych złoczyńców. wyrazy ubolewania i współczucia nigdy nie były moją mocną stroną, więc \_\_ powiedziałem:

- A ten nałóg... Kiedy to się zaczęło?

- Bóg wie. Całe lata temu. Na wiele lat przedtem, nim brat to wykrył.

- Niektóre z tych ukłuc są świeże.

\_ - Jest na leczeniu odwykowym. Uważa pan, że za dużo tych zastrzyków?

- Tak uważam.

- Herta pilnuje jej jak jastrzęb. Co rano zabiera \_ ją do parku Vondel.

Trudi uwielbia karmić ptaki. A po południu sypia. Ale wieczorem Herta bywa czasem zmęczona, a mnie często nie ma w domu.

- Kazał pan ją obserwować?

- Dziesiątki razy. Nie mam pojęcia, jak to się dzieje.

- Dobrali się do niej, żeby się dobrać do pana?

- Żeby wyrzucić na mnie nacisk. A co \_ innego? Przecież ona nie ma pieniędzy, żeby płacić za narkotyki. Oni są głupi i nie zdają sobie sprawy, musiałbym widzieć, że umiera powoli w moich oczach, zanim bym uległ. więc dalej próbują.

- Mógłby pan dać jej ochronę dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Wtedy to stałoby się oficjalne. Taka oficjalna prośba zostaje automatycznie podana do wiadomości służbie zdrowia. I co wtedy?

- Może jakiś zakład - kiwnąłem głową. - Dla niedorozwiniętych.

Więcej by z niego nie wyszła.

- Tak, więcej by nie wyszła.

Nie wiedziałem, co jeszcze powiedzieć, więc pożegnałem się i wyszedłem.

## Rozdział czwarty

Spędziłem popołudnie w hotelu wertując starannie udokumentowane i zaopatrzone w odsyłacze akta oraz historie poszczególnych spraw, dostarczone mi przez biuro pułkownika de Graafa. Obejmowały one wszystkie znane przypadki zażywania narkotyków oraz dochodzenia, które w tych sprawach prowadzono z powodzeniem lub bez w Amsterdamie przez ostatnie dwa lata. Była to bardzo interesująca lektura, to znaczy jeżeli ktoś interesował się śmiercią i upodleniem, samobójstwami, rozbitymi rodzinami i zrujnowanymi karierami. Ale nie znalazłem tam nic dla siebie. Spędziłem jałową godzinę na próbach zestawienia rozmaitych dokumentów, ale żaden znamieny układ nawet nie zaczął się z tego wyłaniać. Dałem za wygraną. Takie świetnie wyszkolone umysły, jak de Graaf i van Gelder, strawiły zapewne wiele, wiele godzin na tych samych bezowocnych zajęciach, i skoro nie udało im się ustalić żadnej formy układu, to nie było dla mnie nadziei.

Wczesnym wieczorem zszedłem do foyer i oddałem klucz do mego pokoju. Uśmiechowi kierownika siedzącego za kontuarem brakowało tym razem dawnego szczerzenia zębów, był pełen szacunku, nawet uniżony; najwyraźniej kazano mu popróbować nowego systemu.

- Dobry wieczór, dobry wieczór panu! - Ta układna przymilność podobała mi się jeszcze mniej niż jego normalne podejście. - Obawiam się, że wczoraj wieczorem zachowałem się odrobinę szorstko, ale widzi pan. . .

- Nie mówmy o tym, drogi panie, nie mówmy o tym. - Nie miałem zamiaru dać się prześcignąć w uprzejmości żadnemu kierownikowi hotelu.

- To było całkiem zrozumiałe w tych okolicznościach. To musiał być dla pana ogromny wstrząs. - Wyrząłem przez drzwi foyer na padający deszcz. - O tym nic nie ma w przewodnikach. Uśmiechnął się szeroko, tak jakby nie słyszał już tysiące razy tego samego głupiego dowcipu, po czym powiedział przebiegle:  
- Nie najlepszy wieczór na pańską angielską przechadzkę.

46

- Żadnych szans. Dziś idę do Zaandam.  
- Do Zaandam? - skrzywił się. - Moje współczucie.

Najwyraźniej wiedział o Zaandam dużo więcej ode mnie, i nic dziwnego, bo właśnie przed chwilą wybrałem na chybił trafił tę nazwę z planu miasta.

Wyszedłem na dwór. Deszcz nie deszcz a katarynka nadal zgrzytała i dudniła na cały regulator. Tego wieczora był w programie Puccini i dostawał straszliwe cięgi. Podeszedłem do katarynki i przystanąłem na chwilę, nie tyle słuchając muzyki, bo trudno tu było mówić o muzyce, co : przyglądając się ukradkiem grupce wychudzonych i lichy odzianych nastolatków - widokowi doprawdy rzadkiemu w Amsterdamie, gdzie ludzie nie są zbyt zwoleńnikami wychudzenia - którzy stali oparci łokciami o katarynkę i zdawali się pogrążeni w zachwycie. Moje rozmyślenia przerwał skrzekliwy głos tuż za mną.

Szanowny pan lubi muzykę?

Obróciłem się. Dziadyga uśmiechnął się do mnie niepewnie.

- Kocham muzykę.

, - Ja też, ja też.

Przyjrzałem mu się uważnie, bo zgodnie z naturalnym biegiem rzeczy \_ jego koniec musiał być już bliski i trudno było uzasadnić podobne oświadczenie. Uśmiechnąłem się doń jak jeden miłośnik muzyki do drugiego.

- Będę dziś myślał o panu - powiedziałem. - Idę do opery.

= Szanowny pan jest bardzo łaskaw.

Wpuściłem dwie monety do puszki, która w tajemniczy sposób pojawiła się pod moim nosem.

' \_ - Szanowny pan jest zbyt łaskaw.

\_ Mając co do niego te podejrzenia, które miałem, pomyślałem sobie to \_;\_ samo, ale uśmiechnąłem się litościwie i przeszedłszy z powrotem na drugą stronę ulicy, skinąłem na portiera. Dzięki jakiejś masońskiej sztuczce, znanej jedynie portierom, zmaterializował znikąd taksówkę. Powiedziałem

mu: "Na lotnisko Schiphol" - i wsiadłem do samochodu. i Ruszyliśmy. Ale nie ruszyliśmy sami. Przy pierwszych światłach, o dwadzieścia jardów od hotelu, spojrząłem przez tylne okienko. Taksówka 'marki Mercedes w żółte pasy zatrzymała się o dwa wozy za nami i rozpoznałem ją jako tę, która zazwyczaj stała na postoju niedaleko hotelu. Ale mógł to być zbieg okoliczności. Światła zmieniły się na zielone i ruszyliśmy w Vijzelstraat. To samo zrobił mercedes w żółte pasy.

Dotknąłem ramienia kierowcy. - Proszę się tu zatrzymać, chcę kupić papierosy. '

Wysiadłem. Mercedes jechał tuż za nami i zatrzymał się także. Nikt do niego nie wsiadł, nikt nie wysiadał. Wszedłem do hallu jakiegoś hotelu, - kupiłem papierosy, których nie potrzebowałem, i wyszedłem. Mercedes nadal tam stał. Ruszyliśmy i po paru chwilach powiedziałem do kierowcy:

- Niech pan skręci w prawo, wzdłuż prinsengrachtu.

- Ale to nie jest droga na Schiphol - zaprotestował.

- Chcę jechać - tędy. Proszę skręcić w prawo:

Skręcił, a za nim mercedes.

- Niech pan stanie. - Zatrzymał się. Mercedes także. Zbieg okoliczności zbiegiem okoliczności, ale to już było śmieszne. Wysiadłem, podszedłem do mercedesa i otworzyłem drzwi. Kierowca był małym, tłustym mężczyzną w wyświeconym granatowym ubraniu i wyglądał podejrzanie.

- Dobry wieczór. Pan jest wolny?

- Nie. - Zmierzył mnie wzrokiem od góry do dołu próbując nadać sobie pozór swobodnej bez troski, a potem bezczelnej obojętności, ale nie wychodziło mu ani jedno, ani drugie.

- To po co pan się zatrzymał?

- Jest jakieś prawo zabraniające zatrzymywania się na papierosa?

- Nie. Tylko że pan nie pali. Zna pan komendę policji na Marnirstraat?

- Nagły brak entuzjazmu w jego minie wskazał wyraźnie, że zna ją aż nadto dobrze. - Proponuję, żeby pan się tam zgłosił, zapytał o pułkownika de Graafa albo inspektora van Geldera i powiedział im, że pan chce złożyć skargę na Paula Shermana, hotel "Rembrandt", pokój sześćset szesnaście.

- Skargę? - zapytał ostrożnie. - Jaką skargę?

- Niech pan im powie, że zabrał panu kluczyki od stacyjki i wrzucił je do kanału.

Wyjąłem kluczyki i cisnąłem je do kanału, po czym rozległ się nader przyjemny plusk, kiedy zniknęły na zawsze w głębinach Prinsengrachtu.

- Niech pan nie jeździ za mną - powiedziałem i zamknąłem drzwi w sposób pasujący do zakończenia naszej krótkiej rozmowy, ale mercedesy są wykonane solidnie i dlatego drzwi nie odleciały.

Wsiadłszy do swojej taksówki czekałem, aż znaleźliśmy się z powrotem na głównej ulicy, i zatrzymałem samochód.

- Postanowiłem iść pieszo - powiedziałem i zapłaciłem kierowcy.

- Jak to? Na Schiphol?

Uśmiechnąłem się do niego z wyrozumiałością, jakiej można się spodziewać po długodystansowym piechurze, którego wytrzymałość została zakwestionowana, czekałem, aż wóz zniknie mi z oczu, wskoczyłem do tramwaju numer 16 i wysiadłem na Dam. Belinda, w ciemnym płaszczu i ciemnej chustce na złotych włosach, oczekiwała mnie na krytym przystanku tramwajowym. Wyglądała na przemoczoną i zziębniętą.

- Spóźnił się pan - powiedziała z wyrzutem.

- Nigdy nie należy krytykować szefów, nawet przez implikację. Klasy kierownicze zawsze mają coś do załatwienia.

Przeszliśmy przez plac wracając tą samą drogą, którą przemierzyłem wraz z szarym mężczyzną poprzedniego wieczora, dalej uliczką koło

hotelu "Krasnapolsky" i wzdłuż obrzeżnego drzewami Oudezijds Voorburgwal, który jest jednym z zabytków kulturalnych Amsterdamu, ale Belinda nie zdawała się być w nastroju do zajmowania się kulturą. Ta żywa

dziewczyna była skupiona i zamknięta w sobie tego wieczora, a jej milczenie nie sprzyjało towarzyskiej atmosferze. Coś ją zaprzętało i zaczynając mieć już pewne pojęcie o Belindzie, domyślałem się, że wyjawi mi to prędzej czy później. Miałem rację. Powiedziała raptem:

-- My w gruncie rzeczy dla pana nie istniejemy, prawda?

Kto?

- Ja, Maggie, wszyscy ci, co dla pana pracują. Jesteśmy tylko cyframi.

- Ano, wiesz, jak to jest - odrzekłem pojednawczo. - Kapitan statku udziela się towarzysko załodze.

- O to mi idzie. To właśnie mówię: że my w gruncie rzeczy nie istniejemy dla pana. Jesteśmy kukiełkami, którymi należy manipulować, główny kukiełkarz osiągnął swoje cele. Wszelkie inne kukiełki nadały się równie dobrze.

\_ Odpowiedziałem łagodnie :

\_\_\_ Jesteśmy tu po to, żeby wykonać bardzo paskudną i nieprzyjemną robotę, i ważne jest tylko osiągnięcie tego celu. Czyjaś osobowość nie odgrywa tu żadnej roli. Zapominasz, że jestem twoim przełożonym, Beli\_n-'. Naprawdę uważam, że nie powinnaś tak do mnie mówić,

- Będę do pana mówiła tak, jak mi się podoba. - Była nie tylko żywa, i z charakterem; Maggie nigdy by się nie śniło tak do mnie odezwać. zastanowiła się nad swoimi ostatnimi słowami i powiedziała już spokojniej: Przepraszam. Nie powinnam była tak się odezwać. Ale czy pan musi nas traktować z taką... taką obojętnością i dystansem, i nigdy nie nawiązywać z nami kontaktu? My też jesteśmy ludzkimi istotami, ale nie dla pana. Jutro mógłby pan minąć mnie na ulicy i nawet nie poznać. Pan nas nie dostrzega.

\_\_\_ - O, dostrzegam, a jakże. Weźmy na przykład ciebie. - Uważałem, na nią nie patrzeć, kiedy szliśmy obok siebie, chociaż wiedziałem, że

obserwuje mnie bacznie. - Nowicjuszka w narkotykach. Niewielkie doświadczenie w Deurime Bureau w Paryżu. Ubrana w granatowy płaszcz, granatową chustkę, w małe białe szarotki, białe podkolanówki, wygodne,

granatowe pantofle na płaskich obcasach, z klamerkami, wzrost pięć stóp, cztery cale, figura - żeby zacytować słynnego amerykańskiego pisarza taka, że biskup mógłby wybić kopniakiem dziurę w witrażu, bardzo piękna twarz, platynowe włosy, wyglądające jak jedwabna przędza, gdy słońce przez nie prześwieca, czarne brwi, zielone oczy, wrażliwa, a co najważniejsze, zaczynająca się martwić swoim szefem, zwłaszcza jego , brakiem ludzkich uczuć. A, zapomniałem. Lakier do paznokci spękany na trzecim palcu lewej ręki oraz zabójczy uśmiech, okraszony - jeżeli to w ogóle możliwe - leciutko skrzywionym lewym przednim zębem.

49

- Uf! - Na chwilę zabrakło jej słów, co, jak zaczynałem dostrzegać, zgoła nie leżało w jej charakterze. Zerknęła na wspomniany paznokieć, na którym lakier był istotnie spękany, po czym obróciła się do mnie z uśmiechem, który był właśnie taki zabójczy, jak powiedziałem. - Może jednak tak jest.

- Co?

- Że pan o nas dba.

- Oczywiście, że tak. - Zaczynała mnie brać za błędnego rycerza, a to mogło być niedobre. - Wszystkie moje współpracowniczki, kategoria drażno poaonne ao "Tak, papo".

- Słucham? - zapytałem podejrzliwie.

- Nie, nic. Nic.

Skręciliśmy w ulicę, na której mieściła się firma Morgenstern i Muggenthaler. Te moje drugie odwiedziny całkowicie potwierdziły wrażenie, jakie odniosłem poprzedniego wieczora. To miejsce wydało mi się jeszcze ciemniejsze, bardziej ponure i groźne, brukowce i chodnik bardziej

spękane niż przedtem, rynsztoki bardziej zatkane śmieciami. Nawet te dwuspadowe dachy domów były bardziej nachylone ku sobie; jutro o tej porze mogły się całkiem zetknąć.

Belinda przystanąła nagle i chwyciła mnie za rękę. Spojrzałem na nią. Patrzyła w górę szeroko rozwartymi oczami; podążyłem za jej wzrokiem tam, gdzie budynki magazynów odsuwały się w dal, z belkami wyciągów wyraźnie zarysowanymi na tle nocnego nieba. Wiedziałem, że wyczuwa coś niedobrego; sam miałem takie uczucie.

- To musi być tutaj - szepnęła. - W i e m, że to tutaj.

- Tak, to jest tutaj - odpowiedziałem rzeczowo. -- A bo co?

Cofnęła gwałtownie rękę, jak gdybym powiedział coś przykrego, ale chwyciłem ją na powrót, wsunąłem sobie pod ramię i mocno przytrzymałem jej dłoń. Nie próbowała jej wyrwać.

- Tu jest tak... tak strasznie. Co to są te okropne rzeczy sterczące spod dachów? .

- Belki wyciągowe. Za dawnych czasów domy opodatkowywano według szerokości frontu, więc oszczędni Holendrzy budowali je niezwykle wąskie. Niestety wskutek tego klatki schodowe były jeszcze węższe. Stąd te belki do masywniejszych rzeczy - wciągania na górę fortepianów, spuszczenia na dół trumien i tak dalej.

- Niech pan przestanie! - Wtuliła głowę w ramiona i wzdrygnęła się i mimowolnie. - To jest okropne miejsce. Te belki... całkiem jak szubienice. To jest miejsce, gdzie ludzie przychodzą umierać.

- Nonsens, moja droga - powiedziałem serdecznie. Czuję szpiczaste jak sztylety, lodowe palce wygrywające mi na kręgosłupie żalobny marsz

Chopina i nagle zatęskniłem do pocziwej, tęsknej muzyki katarynki przed "Rembrandtem", prawdopodobnie byłem równie kontent mogąc trzymać Belindę za rękę, jak ona mogła trzymać mnie. - Nie powinnaś padać ofiarą tych swoich galijskich przywidzeń.

- Nic mi się nie przywidziało - odparła ponuro, po czym zadrżała znowu. - Czy musieliśmy przyjść w to okropne miejsce? - Drżała teraz gwałtownie i nieprzerwanie; wprawdzie było zimno, ale nie aż tak zimno.

- Czy pamiętasz, którąś tu przyszliśmy? - spytałem. Kiwnęła głową, zaskoczona, ja zaś ciągnąłem dalej: - Wracaj do hotelu,

- Do hotelu? - Była wciąż zaskoczona.

- Mnie nic się nie stanie. A teraz ruszaj.

wyrwała mi rękę i zanim zdążyłem się połapać, chwyciła mnie za obie kłapy i popatrzała w sposób mający najwyraźniej zmiażdżyć mnie na miejscu. Jeżeli teraz drżała, to z gniewu; nigdy nie zdawałem sobie sprawy, że taka piękna dziewczyna może mieć tak wściekłą minę. "Żywa" \_ było właściwie nie określeniem dla Belindy, lecz tylko błędą i nijaką namiastką słowa, które mi się nasuwało. Popatrzyłem na dłonie zaciśnięte na \_ moich klapach. Kostki ich były białe. Belinda wręcz próbowała mną

- Niech pan nigdy więcej nie mówi mi czegoś takiego! - Była wściekła bez żadnej wątpliwości.

Nastąpił krótki, ale gwałtowny konflikt między moim wrodzonym poczuciem dyscypliny a pragnieniem porwania jej w objęcia; dyscyplina zwyciężyła, ale niewiele brakowało. Rzekłem potulnie:

- Nigdy więcej nie powiem ci czegoś takiego.

- W porządku. - Puściła moje żalobnie zmiętoszone kłapy i zamiast tego ujęła mnie za szyję. - No to chodźmy.

;Duma nie pozwoliłaby mi nigdy powiedzieć, że pociągnęła mnie za sobą, ale dla bezstronnego obserwatora mogło to wyglądać niezwykle

Po przejściu pięćdziesięciu kroków zatrzymałem się.

Jesteśmy na miejscu.

Belinda odczytała tabliczkę: "Morgenstern i Muggenthaler". Wszedłem po schodkach i zabrałem się do zamka.

\_ - Obserwuj ulicę.

= A potem co mam robić?

- Pilnuj moich pleców.

Zdecydowany skaucik zaopatrzony w wygiętą szpilkę do włosów nie uznałby tego zamka za przeszkodę. Weszliśmy do środka i zamknąłem za nami drzwi. Moja latarka była niewielka, ale mocna, jednakże nie miała nam wiele do pokazania na tej pierwszej kondygnacji. Pomieszczenie było

50 51

zawalone prawie po sufit pustymi drewnianymi skrzynkami, papierem, tekturą, wiązkami słomy i maszyną do pakowania. Punkt wysyłkowy, nic innego.

Weszliśmy na piętro po wąskich, krętych, drewnianych schodkach

W połowie drogi obejrzałem się i spostrzegłem, że Belinda też zerka niespokojnie za siebie, a jej latarka przeskakuje w najróżniejszych kierunkach.

Następne piętro było w całości przeznaczone na wielkie ilości holenderskich naczyń cynowych, wiatraczków, piešków, fajek i najróżniejszych artykułów wiążących się wyłącznie z handlem pamiątkami ostów.

Były tam dziesiątki tysięcy owych przedmiotów na półkach wzdłuż ścian czy na równoległych stojakach pośrodku magazynu, i chociaż nie mogłem oczywiście obejrzeć ich wszystkich, wydały mi się zupełnie nieszkodliwe.

Natomiast tym; co nie wydało mi się takie nieszkodliwe, było pomieszczenie o wymiarach piętnaście na dwadzieścia stóp, które przylegało do jednego kąta magazynu, a ściślej mówiąc drzwi, które do tego pomieszczenia prowadziły, chociaż nie miały nas doń wprowadzić tego wieczora. Zawołałem Belindę i oświetliłem te drzwi latarką. Popatrzała na nie, a potem na mnie i w odblasku światła dojrzałem na jej twarzy wyraz zaskoczenia.

- Zamek zegarowy - powiedziała. - Na co komu zamek zegarowy w zwykłych biurowych drzwiach?

- To nie są zwykłe drzwi biurowe - odparłem. - Zrobione są ze stali.

Na tej samej zasadzie można się założyć, że te zwykłe drewniane ściany są obite blachą stalową, a to zwykłe, stare, proste okno, wychodzące na ulicę, jest zaopatrzone w gęste kraty, wprawione w beton. W magazynie diamentów - owszem, to można by zrozumieć. Ale tutaj? Przecież nie mają tu nic do ukrywania.

- Wygląda na to, że natrafiliśmy na właściwe miejsce - powiedziała Belinda.

- Wątpiłaś kiedyś we mnie?

Nie, panie majorze = odrzekła bardzo skromnie. - Co tu w ogóle jest

- Całkiem oczywiste, no nie? Hurtownia pamiątek. Fabryki czy chałupnicy, czy kto tam jeszcze, przysyłają tu masowo swoje towary do zmagazynowania, a ten skład zaopatruje sklepy na żądanie. Proste, prawda?

Nieszkodliwe prawda?

- Ale nie bardzo higieniczne.
- Dlaczego znowu?
- Tu jest okropny zapach.
- Haszysz ma dla niektórych osób zapach przykry.
- Haszysz?

52

- Ach ty, razem z twoim cieplarnianym życiem. Chodźmy.  
Wszedłem pierwszy na trzecie piętro i czekałem na Belindę.  
- Nadal pilnujesz pleców swojego szefa? - spytałem.  
- Nadal pilnuję pleców mojego szefa - odrzekła mechanicznie.  
Tak jak należało się spodziewać, tamta ziejąca ogniem Belinda sprzed tu minut zniknęła. Nie dziwiłem się jej. Ten stary dom miał w sobie coś niewypowiedzianie ponurego i złowieszczonego. Mdły zapach haszyszu był aż jeszcze mocniejszy, ale na tym piętrze nie było widać niczego, co mogłoby w jakikolwiek sposób z nim się wiązać. Trzy strony pomieszczenia wraz z licznymi poprzecznymi stojakami w całości przeznaczono na wahadłowe zegary, w tej chwili, na szczęście, zatrzymane. Były one różniejszych kształtów, rodzajów i rozmiarów, od małych, tanich, jaskrawo pomalowanych modeli na sprzedaż dla turystów - prawie wszystkie z żółtej sośniny - aż po bardzo duże, pięknie wykonane i wspaniale zdobione zegary metalowe, najwyraźniej bardzo stare i kosztowne, albo ich nowoczesne repliki, które nie mogły być wiele tańsze. arta strona pomieszczenia była, mówiąc najogólniej, dużą niespodzianką.

Znajdowały się tam ni mniej, ni więcej tylko rzędy za rzędami  
Zastanowiłem się, co robią Biblie w magazynie turystycznych pamiątek ale tylko przelotnie; za dużo tu było rzeczy, których nie rozumiałem. wziąłem jeden z tomów i obejrzałem go. Na dolnej połowie skórzanej okładki były tłoczone złotem słowa: "Biblia Gabriela". Otworzyłem ją i na pierwszej kartce znalazłem wydrukowany napis: "W darze od Pierwszego Reformowanego Kościoła Amerykańskiego Stowarzyszenia Hugonotów". Taka sama jest w naszym pokoju w hotelu - powiedziała Belinda.  
Nie dziwiłbym się, gdyby były w większości pokoiów hotelowych w \_ tym mieście: Pytanie, tylko, co one tu robią? Dlaczego nie są w magazynie wydawcy czy księgarza, gdzie należałoby się ich spodziewać dziwne, co?

zadrzała. - Wszystko tu jest dziwne.

poklepałem ją po plecach.

'\_ - Bierze cię przeziębienie, nic więcej. Ostrzegałem cię już przed tymi spódniczkami. Teraz następne piętro.

Następne piętro było w całości przeznaczone na najbardziej zdumiewającą kolekcję lalek, jaką można sobie wyobrazić. Ich liczba musiała iść w tysiące. Rozmiary ich sięgały od małych miniatuerek aż po egzemplarze jeszcze większe od lalki należącej do Trudi; wszystkie bez wyjątku były przepyszenie modelowane i wszystkie pięknie ubrane w rozmaite tradycyjne stroje holenderskie. Większe lalki albo stały samodzielnie, albo były zaopatrzone w metalową podpórkę, mniejsze dyndały na sznurkach It prętów pod sufitem. Promień mojej latarki zatrzymał się wreszcie na grupie lalek ubranych w jednakowe kostiumy.

53

-Nie ma żadnego "ależ"! - Nie byłem pewny, czy miało to być

Belinda zapomniała o doniosłości strzeżenia moich pleców i powróciła do ściskania mnie za rękę. \_ rtięcie, czy drżący szept. - Ja je widziałam. Straszne, wpatrzone oczy. - To takie... takie niesamowite. One są takie żywe, czujne. - Spojrzała; i przysięgam że widziałam. Przysięgam.

Na lalki oświetlone promieniem mojej latarki. - Czy w nich jest coś – ot coś oczywiście, Belindo... szczególnego? ~ Obróciła się twarzą do mnie z urazą w bacznych oczach, tak jakby

- Nie ma potrzeby szeptać. Może i patrzą na ciebie, ale zapewniam, że podejrzewała, że usiłuję ją uspokoić, co było prawdą. Powiedziałem:

cię nie słyszą. Te lalki. Właściwie nie ma w nich nic szczególnego, tyle że \_ Wierzę ci, Belindo. Jasne, że ci wierzę. - Nie zmieniłem swojego

stara czarownica, która zgubiła gdzieś swoją miotłę, ubiera się właśnie tak.

- Jak one?

- Niełatwo to sobie wyobrazić - przyznałem. - A Trudi ma wielką lalkę ubraną dokładnie tak samo.

- Ta chora dziewczyna?

- Ta chora dziewczyna.

- To miejsce ma w sobie coś strasznie nieprzyjemnego. - Puściła moją rękę i znowu zajęła się strzeżeniem moich pleców. W kilka sekund potem ' usłyszałem, że gwałtownie nabiera tchu, i obróciłem się. Stała plecami do mnie, nie dalej niż o cztery stopy, i nagle zaczęła cofać się powoli i bezgłośnie z wyciągniętą za siebie ręką, najwyraźniej wpatrzone w coś, ; na co padł promień jej latarki. Ująłem jej dłoń, gdy znalazła się blisko, ciągle nie obracając głowy.

Przemówiła napiętym szeptem:

- Tam ktoś jest. Ktoś patrzy.

Zerknąłem w promień światła, lecz nic nie zobaczyłem, ale też jej latarka : nie była zbyt mocna w porównaniu do mojej. Ścisnąłem dłoń Belindy, by \_ zwrócić na siebie jej uwagę, i kiedy się obróciła, popatrzyłem na nią i pytająco.

- Tam naprawdę ktoś jest. - Wciąż ten spięty szept, rozszerzone zielone oczy. - Widziałam. Widziałam je.

- Ale co?

- Oczy. Widziałam.

Nie wątpiłem w to ani przez chwilę. Mogła być obdarzona wyobraźnią, i ale została przeszkolona, i to starannie przeszkolona, aby nie dawać upustu wyobraźni w swoich obserwacjach. Podniosłem \_ latarkę, nie dość ostro- żnie, bo promień poraził w przelocie jej oczy oślepiając ją na chwilę, i kiedy odruchowo poderwała do nich dłoń, skierowałem światło we ! wskazane miejsce. Nie dojrzałem żadnych oczu, natomiast spostrzegłem, iż \_ dwie wiszące obok siebie lalki kołyszają się tak leciutko, że ruch ich był, prawie niedostrzegalny. Prawie, ale niecałkowicie - a na tym piętrze ' magazynu nie było żadnego przeciągu ani podmuchu powietrza. Ścisnąłem znowu jej dłoń i uśmiechnąłem się do niej.

- Ależ Belindo. . .

54

- To dlaczego pan nic nie robi?

- Właśnie mam ten zamiar. Mam zamiar wynieść się stąd do diabła.

\_ - Dokonałem ostatniej, nieśpiesznej inspekcji za pomocą latarki, tak jakby nic się nie stało, po czym obróciłem się i opiekuńczo ująłem Belindę pod rękę. - Nic tutaj dla nas nie ma, a jesteśmy tu już za długo. Myślę, że trzeba nam drinka na nasze stargane nerwy.

popatrzała na mnie z wyrazem na przemian gniewu, zawodu i niedowie- rzania, a podejrzewam, że i z niemałą ulgą. Ale gniew wziął górę;



większość ludzi \_pada w gniew, kiedy czują, że ktoś im nie wierzy  
uspokaja ich jednocześnie.

- Ależ mówię panu, że...

- No, no! - dotknąłem warg wskazującym palcem. - Nic mi nie  
mów. . Pamiętaj : szef zawsze wie najlepiej. . .

Była za młoda, żeby apoplektycznie zsinieć, niemniej jednak miały ją  
burzliwe uczucia. łypnęła na mnie, najwyraźniej doszła do wniosku, że nie  
ma słów odpowiednich do tej sytuacji, i zaczęła schodzić po schodach,  
ze wzburzeniem widocznym w każdym ruchu jej sztywno wyprostowanych  
pleców. Podążyłem za nią, a moje plecy też nie były całkiem takie jak  
zwykle, bo czułem w nich dziwne mrowienie, które nie ustało, dopóki nie  
zamknąłem bezpiecznie za sobą frontowych drzwi magazynu.

Odeszliśmy szybko ulicą trzymając się z dala od siebie; to Belinda  
zachowywała ten dystans, a jej postawa dawała wyraźnie do zrozumienia  
' . trzymanie się za ręce i ściskanie ramion skończyło się na tę noc,  
Najprawdopodobniej na dobre. Odchrząknąłem.

- Ten, kto walczy i ucieka, drugiego dnia walki doczeka.

Tak bardzo kipiała gniewem, że tego nie uchwyciła.

Proszę, niech pan do mnie nie mówi - warknęła, więc przestałem  
mówić przynajmniej do momentu, kiedy doszliśmy do pierwszego szynku  
w dzielnicy portowej, niechlujnej spelunki, szczycącej się nazwą "Pod  
Kotem o Dziewięciu Ogonach". Widocznie musieli tu niegdyś bywać  
wszyscy marynarze. Wziąłem Belindę pod rękę i wprowadziłem ją do  
środka. Nie była zachwycona, ale nie stawiała oporu.

Była to zadymiona, duszna nora, i tylko tyle dałoby się o niej powiedzieć.  
Kilku marynarzy, niechętnych wtargnięciu dwojga obcych do przybytku,

55

który zapewne słusznie uważali za swoją prywatną własność, łypnęło na : - Nie znam się na  
przemówieniach. - Ognista jak zawsze, miała łzy w oczach kiedy wchodziłem, ale ponieważ byłem w  
nastroju. - Wiem tylko, że to jest najładniejsze, co o mnie ktokolwiek  
łypania o wiele bardziej ponuro od nich, po tym pierwszym nieprzyjaznym i  
odruchu zostawili nas w spokoju. Poprowadziłem Belindę do niewielkiego;  
stołu, oryginalnego, antycznego, drewnianego stołu, którego powierzchnia!  
nie tknęło mydło czy woda od niepamiętnych czasów.

- Ja biorę scotcha - powiedziałem. - A ty?

- Scotcha - odrzekła nadąsana.

- Przecież nie pijesz whisky.

- Dziś piję.

Miała rację tylko częściowo. Wychyliła pół szklanki czystej whisky;  
jednym zawadiackim haustem, po czym zaczęła krztusić się, kaszleć i dla  
wić tak gwałtownie, iż doszedłem do wniosku, że mogłem się mylić, jeżeli;  
idzie o wykluczenie u niej objawów apopleksji. Chcąc przyjść jej z pomocą  
począłem ją klepać po plecach. !

- Niech pan zabierze tę rękę - wysapała.

Zabrałem rękę.

- Nie sądzę, żebym mogła dalej z panem pracować, panie majorze

- powiedziała, kiedy jej krtań powróciła do stanu używalności.

- Przykro mi to słyszeć.

- Nie mogę pracować z ludźmi, którzy mi nie ufają, którzy mi nie  
wierzą. Pan nas traktuje nie tylko jak marionetki, ale jak dzieci.

- Wcale cię nie uważam za dziecko - odrzekłem pokojowo. I rzeczywi-  
ście nie uważałem.

- "Wierzę ci, Belindo" - zaczęła mnie przedrzeźniać z goryczą.

„Jasne, że ci wierzę”. Wcale pan nie wierzy Belindzie.

- Wierzę Belindzie - odparłem. - I chyba jednak dbam o Belinę.

Dlatego zabrałem stamtąd Belinę.

Popatrzyła na mnie. - Wierzy pan... więc dlaczego... '

- Tam rzeczywiście ktoś był, ukryty za tym stojakiem z lalkami. Widziałem, że dwie się lekko kołysały. Ktoś był za stojakiem i obserwował, na pewno chcąc się przekonać, czy coś wykryjemy. Nie miał żadnych morderczych zamiarów, bo strzeliłby nam w plecy, kiedy schodziliśmy na dół. Ale gdybym zareagował tak, jak chciałaś, byłbym zmuszony go poszukać i wtedy kropnąłby mnie ze swojej kryjówki, zanim bym go w ogóle dojrzał. Potem kropnąłby ciebie, bo nie mógłby mieć żadnych świadków a naprawdę jesteś jeszcze o wiele za młoda, żeby umierać. Albo też mógłbym zabawić się z nim w chowanego i mieć równą szansę, że go dorwę - gdyby nie było tam ciebie. Ale byłaś, nie masz broni, nie masz żadnego doświadczenia w tych paskudnych grach, w które się zabawiamy, a dla niego byłaś równie dobra jako zakładnik. Toteż zabrałem stamtąd Belinę. No, czy to nie ładne przemówienie?

56

Bzdury! - Dopilem mojej whisky, potem whisky Belindy i odwiozłem do hotelu. Chwilę staliśmy w wejściu, schroniwszy się przed padającym teraz rzęsście deszczem, i Belinda powiedziała:

- Tak mi przykro. Byłam głupia. I przykro mi też za pana.

- Za mnie?

- Teraz rozumiem, dlaczego pan wolałby, żeby dla pana pracowały kukielki, nie ludzie. Człowiek nie płacze, kiedy umiera kukielka.

Nic nie odpowiedziałem. Zaczynałem tracić panowanie nad tą dziewczyną, dawny stosunek nauczyciel-uczennica nie był już całkiem taki jak

powiedziała. Mówiła prawie z radością.

Jeszcze jedno

Zebrałem się w sobie.

- Teraz już nie będę się pana bała.

- A bałaś się? Mnie?

- Tak, bałam się. Naprawdę. Ale to jest tak, jak powiedział tamten

- Jaki człowiek?

hylock, prawda? Wie pan; zatnij mnie, a będę krwawić.

„bądź że cicho!

Umilkła. Po prostu obdarzyła mnie znowu tym zabójczym uśmiechem, Pocałowała mnie bez większego pośpiechu, uśmiechnęła się raz jeszcze weszła do hotelu. Patrzyłem na szklane, wahadłowe drzwi, dopóki nie znieruchomiały. Jeszcze trochę więcej tego - pomyślałem posępnie a dyscyplinę diabli wezmą.

Rozdział piąty

Przeszedłem ze dwieście czy trzysta jardów, żeby oddalić się od hotelu \_

dziewczyn, po czym złapałem taksówkę i pojechałem do "Rembrandta" Przez chwilę stałem pod daszkiem wejścia patrząc na katarynkę po drugiej stronie ulicy. Staruch był nie tylko niezmordowany, ale i najwyraźniej nieprzemakalny, bo deszcz nie wywierał na nim żadnego wrażenia i nic poza trzęsieniem ziemi nie mogło go powstrzymać od wieczornego występu. Na podobieństwo starego aktora, który uważa, iż przedstawienie musi się odbyć, był widać przekonany, iż ma obowiązki wobec swej publiczności, a rzecz niewiarygodna, publiczność tę posiadało kilku młodzieńców, których wytarta odzież zdradzała wszelkie oznaki przemoczenia na wylot, grupkę akolitów, zatopionych w mistycznej kontemplacji śmiertelnych mąk Straussa, który dzisiaj z kolei był brany na tortury.

Wszedłem do hotelu.

Kierownik spostrzegł mnie, kiedy się obracałem po powieszeniu palta. Jego zaskoczenie wydało mi się szczere.

- Tak prędko z powrotem? Z Zaandam?

- Szybka taksówka - wyjaśniłem i przeszedłem do baru, gdzie zamówiłem Jonge Genever i Pilsa, i popijając powoli jedno i drugie zastanawiałem się nad związkami między szybkimi ludźmi i szybkostrzelnymi rewolwerami, handlarzami narkotyków, chorymi dziewczynami, oczyma ukrytymi za lalkarzem i, mężczyznami i taksówkami podążającymi za mną, gdziekolwiek się udałem, szantażowanymi policjantami i sprzedajnymi kierownikami hoteli, portierami i brzękliwymi katarynkami. Wszystko to razem nic mi nie dawało. Czułem, że nie byłem dostatecznie energiczny i właśnie dochodziłem niechętnie do wniosku, że nie ma innego wyjścia jak ponowne odwiedziny w magazynie później tegoż wieczora - oczywiście bez powiadomienia o tym Belindy - gdy po raz pierwszy spojrzałem przypadkiem w znajdujące się przede mną lustro. Nie powodował mnie żaden instynkt ani nic w tym rodzaju; po prostu od jakiegoś czasu nozdrza moje łechtał nieomal podświadomie zapach perfum, które rozpoznałem

58

jako drzewo sandałowe, a ponieważ dosyć je lubię, chciałem zobaczyć, kto używa. Czyste staroświeckie wścibstwo.

Dziewczyna siedziała przy stoliku tuż za mną, przed sobą miała drinka, w rękę gazetę. Można by sądzić, iż tylko mi się wydało, że gdy latałem w lustro, opuściła zaraz oczy na gazetę, ale nie miałem skłonności do imaginowania sobie takich rzeczy. Przypatrywała mi się. Była młoda, ubrana w zielony kostium i miała niesforną blond czuprynę, która zgodnie z nowoczesną modą wyglądała na ostrzyżoną przez obłąkanego przycinacza żywopłotów. Najwyraźniej Amsterdam był pełen blondynek, które rzucały się mojej uwadze w taki czy inny sposób.

Powiedziałem do barmana: - Jeszcze raz to samo - postawiłem napoje baru na stoliku i poszedłem z wolna w kierunku foyer, minąłem dziewczynę jak człowiek zatopiony w myślach, nawet na nią nie spojrzawszy i wyszedłem frontowymi drzwiami na ulicę. Strauss już się wykończył w przeciwieństwie do starucha, który, chcąc zademonstrować wszechstronność swych upodobań, przeszedł do upiornego wykonania szkockiej piosenki o Loch Lomond. Gdyby tego popróbował na ulicy Sauchiehall Glasgow, zarówno on, jak jego katarynka byłiby w ciągu piętnastu minut jedynie wyblakłym wspomnieniem. Młodociani akolici poznawali, co mogło oznaczać, że są albo ogromnie anty szkoccy, albo też właśnie bardzo pro szkoccy. W rzeczywistości ich nieobecność, jak miałem się później przekonać, znaczyła zupełnie co innego; wszystkie oznaki były tam,

przede mną, ale ich nie dostrzegłem, a przez to, że ich nie dostrzegłem, zbyt wielu ludzi miało umrzeć.

Stary zobaczył mnie i zmanifestował swoje zdziwienie.

— Szanowny pan mówił, że...

- Że idę do opery. I tak też zrobiłem. - Pokiwałem smutnie głową.  
Primadonna sięgnęła po wysokie E. Atak serca. - Klepnałem go po ramieniu. - Bez paniki. Idę tylko do budki telefonicznej.

Zadzwoiłem do hotelu dziewczyn. Dostałem od razu połączenie z recepcją, a po długim czekaniu z ich pokojem. W głosie Belindy było rozdrażnienie. - Kto mówi?

- Sherman. Chcę, żebyś tu natychmiast przyjechała.

- Teraz? - jęknęła. - Właśnie biorę kąpiel.

- Niestety, nie mogę być w dwóch miejscach jednocześnie. Jesteś wystarczająco czysta do tej brudnej roboty, która mnie czeka. Maggie też.

- Kiedy Maggie śpi.

- No to ją obudź, dobrze? Chyba, że chcesz ją przynieść. - Urażone milczenie. - Bądźcie przy moim hotelu za dziesięć minut. Zaczekajcie na ulicy, o jakieś dwadzieścia kroków.

- Przecież leje jak z cebra! - Jej głos był nadal rozżalony.

59

- Uliczne damy nie dbają o to, czy przemokną. Niedługo będzie stąd wychodziła pewna dziewczyna. Twój wzrost, twój wiek, twoja figura, twoje włosy. . .

- W Amsterdamie jest pewnie z dziesięć tysięcy dziewczyn, które.

- A, ale ta jest piękna. Nie taka jak ty, rzecz jasna, ale piękna. Ma na sobie zielony płaszcz, ma zieloną parasolkę... perfumy z drzewa sandałowego, a na lewej skroni nieźle zamaskowany siniak, który zrobiłem jej wczoraj po południu.

- Nieźle zamaskowany... nic nam pan nie mówił, że pan napada na ! dziewczyny.

- Nie mogę pamiętać o wszystkich drobnych szczegółach. Pójdziecie za i nią. Kiedy dojdzie tam, gdzie się udaje, jedna z was zostanie na miejscu, I a druga zgłosi się do mnie. Nie, tutaj nie możecie przyjść, wiecie o tym. Będę "Pod Starym Dzwonem", na drugim rogu Rembrandtplein.

- Co pan tam będzie robił?

- To jest bar. Jak myślisz, co będę robił?

Kiedy wróciłem, dziewczyna w zielonym płaszczu nadal siedziała przy tym samym stoliku. Najpierw podszedłem do recepcji, poprosiłem o papier listowy i przyniosłem go do stolika, na którym zostawiłem swoje drinki. Dziewczyna w zielonym płaszczu była nie dalej niż o sześć stóp, toteż powinna była doskonale widzieć, co robię, zarazem pozostając stosunkowo wolna od obserwacji.

Wyjąłem z portfela rachunek za kolację z poprzedniego wieczora, rozłożyłem go przed sobą i zacząłem coś kreślić na kawałku papieru. Po chwili odłożyłem pióro z niezadowoleniem, zmiąłem papier i cisnąłem go do stojącego obok koszyka. Zacząłem pisać na innym arkusiku i udałem, że dochodzę do takiego samego niezadowolającego wniosku. Ponowiłem to jeszcze kilkakrotnie, po czym przymknąłem oczy, oparłem głowę na

dłoniach i pozostałem tak prawie pięć minut, niby człowiek zatopiony w najgłębszych rozmyślaniach. Faktem jest, że nie bardzo mi się śpieszyło. Belindzie dałem dziesięć minut, ale gdyby zdołała w ciągu tego czasu wyjść z kąpeli, ubrać się i przyjechać tu z Maggie, oznaczałoby to, że wiem o kobietach jeszcze mniej, niż mi się wydawało. .

Przez jakiś czas znowu pisałem, miałem papiery i wyrzucałem je do kosza, i tak upłynęło dwadzieścia minut. Dokończyłem drinka, wstałem, powiedziałem dobranoc barmanowi i wyszedłem. Przystanąłem za czerwonymi pluszowymi kotarami które oddzielały bar od hallu, i zaczekałem, ostrożnie zza nich wyglądając. Dziewczyna w zielonym płaszczu wstała, zamówiła sobie następnego drinka i przysiadła na krzeselku, które przed chwilą zwolniłem, obrócona do mnie plecami. Rozejrzała się od niechcienia, aby upewnić się, że nie jest obserwowana, po czym też od niechcienia sięgnęła do kosza na śmieci i wyjęła zeń leżący na wierzchu zmięty arkusik papieru. Wygladziła go na stoliku przed sobą, ja zaś bezgłośnie podsunąłem się do jej krzesła. Widziałem teraz jej twarz z boku zauważyłem, że znieruchomiała. Mogłem nawet odczytać słowa wypisane na rozprostowanym papierze. Brzmiały one:

„TYLKO WŚCIBSKIE DZIEWCZYNKI ZAGLĄDAJĄ DO KOSZÓW NA ŚMIECI”.

- Wszystkie inne papierki zawierają to samo tajemne posłanie - powiedziałem. - Dobry wieczór, panno Lemay.

Okręciła się gwałtownie i spojrzała na mnie. Wymalowała się wcale nie źle, ażeby ukryć naturalny oliwkowy koloryt swej cery, ale cała szminka i puder na świecie nie zdołałyby przesłonić rumieńca, który oblał jej twarz od szyi aż po czoło.

- Daję słowo - powiedziałem - cóż to za uroczy odcień różowości!

Przepraszam. Ja nie mówię po angielsku.

Bardzo delikatnie dotknąłem jej sińca i powiedziałem łagodnie:

- Utrata pamięci na skutek wstrząsu. , To przejdzie. Jak głowa, panno

\_ - Przepraszam, ja. . .

- Nie mówię po angielsku. Już pani to powiedziała. ale rozumie pani całkiem nieźle, prawda? Zwłaszcza słowo pisane. Doprawdy, dla takiego starzejącego się osobnika, jak ja, pokrzepiające jest widzieć, że dzisiejsze dziewczęta potrafią rumienić się tak ładnie. Bo pani bardzo ładnie się rumieni.

Wstała zmieszana, obracając i gniotąc w dłoniach papiery. Może była po stronie złoczyńców - bo tylko ktoś będący po ich stronie mógł próbować, k jak tq bez wątpienia uczyniła, zagrozić mi drogę przy pościgu na lotnisku

\_ ale nie potrafiłem pohamować drgnienia współczucia. Było w niej coś smutnego i bezbronnego. Mogła też być doskonałą aktorką, ale doskonałe aktorki robiłyby fortunę na scenie czy ekranie. Nagle, nie wiedzieć czemu, przyszła mi na myśl Belinda. Dwie jednego dnia - to było o dwie za wiele. zaczynałem widocznie głupieć. Wskazałem papiery ruchem głowy.

- Może pani je sobie zatrzymać, jeżeli pani chce powiedziałem

- Zatrzymać... - Spojrzała na papiery. - Ja wcale nie chcę...

- Aha! Utrata pamięci zaczyna przechodzić.

- Proszę -pana ja... .

- Pani peruka się przekrzywiła. \_

Odruchowo podniosła ręce i dotknęła włosów, potem z wolna opuściła dłonie i przygryzła wargi w upokorzeniu. W jej ciemnych oczach było coś bliskiego desperacji. Znowu doznałem nieprzyjemnego uczucia, że nie jestem zbyt dumny z siebie.

- Proszę, niech pan mnie zostawi - powiedziała, więc usunąłem się na bok, by ją przepuścić. Przez chwilę patrzyła na mnie i przysięgłbym, że w jej oczach pojawił się błagalny wyraz, a twarz skurczyła się lekko, tak jakby miała się rozplakać; potem potrząsnęła głową i szybko odeszła. Podążyłem za nią wolniej i patrzyłem, jak zbiegała po schodach i skręcała w stronę kanału. W dwadzieścia sekund później Maggie i Belinda przeszły w tym samym kierunku. Mimo że trzymały rozpięte parasolki, wyglądały na bardzo przemoczone i zmaltretowane. Możliwe, że jednak przyjechały tu w ciągu dziesięciu minut.

Wróciłem do baru, z którego zresztą nie miałem wcale zamiaru wychodzić, aczkolwiek musiałem przekonać dziewczynę, że tak było. Barman rozpromienił się życzliwie.

- Witam ponownie szanownego pana. Myślałem, że pan poszedł spać.

- Chciałem. Ale moje brodawki smakowe powiedziały mi: nie, jeszcze jednego Jonge Genever.

- Zawsze powinno się słuchać swoich brodawek smakowych, proszę pana - odrzekł barman. Podał mi szklaneczkę. - Na zdrowie!

Podniosłem szklaneczkę do ust i wróciłem do swoich rozmyślań.

Zastanawiałem się nad naiwnością i nad tym, jak nieprzyjemnie jest być wywodzonym w pole, oraz czy młode dziewczęta potrafią rumienić się na każde żądanie. Zdawało mi się, że słyszałem o pewnych aktorkach, które to umiały, ale nie byłem pewny, więc zamówiłem jeszcze jednego drinka żeby sobie odświeżyć pamięć.

Następne naczynie, jakie podniosłem do ust, było zupełnie innego rodzaju, o wiele cięższe i zawierające płyn znacznie ciemniejszy. Był to w istocie kufel Guinnessa, który mógł się wydać, i słusznie, bardzo niezwykłym napojem w barze na kontynencie. Ale nie tu "Pod Starym Dzwonem", w tej obwieszanej mosiężnymi wyrobami oberży, bardziej angielskiej, niż mogłaby kiedykolwiek być większość angielskich oberży. Specjalizowała się w angielskich piwach - oraz, jak o tym świadczył mój kufel, w irlandzkich porterach. Lokal był zapełniony, ale udało mi się znaleźć stolik naprzeciw wejścia, nie dlatego, że bym tak jak ludzie z Dzikiego Zachodu nie lubił siedzieć tyłem do drzwi, ale ponieważ chciałem od razu spostrzec Maggie czy też Belinę, gdy tylko któraś z nich wejdzie. Okazało się, że zjawiała się Maggie. Podeszła do mojego stolika i usiadła. Była mocno przemoczona, a mimo chustki i parasolki, krucz włosy miała przyklepione do policzków.

- Wszystko dobrze? - zapytałem troskliwie.

- Jeżeli można nazwać dobrym przemoczenie do nitki, to owszem.

Taka kęśliwość wcale nie pasowała do mojej Maggie; musiała rzeczywiście bardzo zmoknąć.

- A Belinda?

- Też jakoś przeżyje. Ale myślę, że zanadto martwi się o pana. - Zawołała manifestacyjnie, aż przelknąłem długi, przyjemny haust Guinnessa.

- Ma nadzieję, że pan zbytnio nie ryzykuje.

- Belinda jest bardzo troskliwa.

Belinda doskonale wiedziała, co robię.

- Młoda jest - powiedziała Maggie.

"

- Tak, Maggie.

- I wrażliwa.

- Tak, Maggie.- Nie chciałabym, żeby jej się stała krzywda, Paul.

Usłyszawszy to, aż się poderwałem, przynajmniej wewnątrz. Nigdy nie mówiła do mnie "Paul", chyba że byliśmy sam na sam, a i wtedy tylko, jeśli była na tyle zamyślona czy zemocjonowana, by nie pamiętać o tym, co uważała za obyczajne. Nie miałem pojęcia, jak rozumieć jej słowa, zastanowiłem się, o czym, u licha, mogły ze sobą rozmawiać. Zaczynałem żałować, że nie zostawiłem ich obu w domu i nie wziąłem zamiast tego dwóch dobermanów. Doberman przynajmniej załatwiłby się krótko i węzłowato z naszym zaczajonym przyjacielem u Morgensterna i Muggent-

- Powiedziałaś... - zaczęła Maggie.

- Słyszałem, co powiedziałaś. Wypiłem jeszcze trochę portera.

-Bardzo jesteś kochana, Maggie.

kiwnęła głową, nie dla potwierdzenia moich słów, ale po prostu żeby pokazać, iż z jakiejś niejasnej przyczyny uznaje to za zadowalającą odpowiedź, i pociągnęła łyk sherry, które dla niej zamówiłem. Szybko przystąpiłem do rzeczy.

- A gdzie jest ta nasza znajoma, za którą poszłyście?

- W kościele.

- Co?! - Zakrztusiłem się w kufel.

- Śpiewa hymny.

- Boże kochany! A Belinda?

- Także w kościele.

- I też śpiewa hymny?

- Nie wiem. Nie wchodziłam do środka.

- Może Belinda też nie powinna była wchodzić.

- Czy jest miejsce bezpieczniejsze od kościoła?

- To prawda. Prawda. - Usiłowałem się odprężyć, ale czułem się

- Jedna z nas musiała zostać.

- Oczywiście.

- Belinda mówiła, że pan może będzie chciał znać nazwę tego kościoła

62

63

- Dlaczego bym miał... - Wpatrzyłem się w Maggie. - Pierwszy Zreformowany Kościół Amerykańskiego Stowarzyszenia Hugonotów?

- Maggie kiwnęła głową. Odsunąłem krzesło i wstałem. - Teraz rozumiem. Chodźmy.

- Co? I zostawi pan ten pyszny porter, który tak dobrze panu robi?

- Myślę o zdrowiu Belindy, nie o swoim.

Wyszliśmy i wtedy nagle nasunęła mi się myśl, że nazwa kościoła nic nie znaczyła dla Maggie. Nie znaczyła nic, ponieważ Belinda nie powiedziała jej, kiedy wróciła do hotelu, a nie powiedziała, gdyż Maggie wtedy spała.

A ja się zastanawiałem, o czym one mogły rozmawiać! O niczym nie rozmawiały. Albo to było bardzo osobliwe, albo też ja nie byłem zbyt bystry. Względnie jedno i drugie.

Padło jak zwykle i kiedy szliśmy przez Rembrandtplein koło hotelu "Schißer", Maggie w samą porę zadrżała z zimna.

- Niech pan patrzy - powiedziała. - Jest taksówka. Mnóstwo taksówek.

- Nie powiedziałbym, że w Amsterdamie nie ma ani jednej taksówki nie będącej na żołdzie przestępców - odrzekłem z uczuciem - ale też nie

postawiłbym na to nawet pensa. Zresztą to nie jest daleko.

I rzeczywiście nie było - ale taksówką. Pieszko była to dosyć znaczna odległość. Nie miałem jednak zamiaru przebywać jej piechotą. Poprowadziłem Maggie przez Thorbeckeplein, skręciłem w lewo, potem w prawo i znowu w lewo, aż wyszliśmy na Amstel. Maggie powiedziała:

- Widzę, że pan zna drogę, prawda, majorze?

- Już tutaj byłem.

- Kiedy?

- Nie pamiętam. Bodaj w zeszłym roku.

- Kiedy w zeszłym roku? - Maggie wiedziała, albo tak jej się zdawało, o wszystkich moich poczynaniach w ciągu ostatnich pięciu lat, i łatwo było ją dotknąć. Nie lubiła rzeczy, które nazywała nieprawidłowościami.

- Chyba na wiosnę.

- Może przez dwa miesiące?

- Mniej więcej.

- Ubiegłej wiosny spędził pan dwa miesiące w Miami - powiedziała oskarżycielskim tonem. - Tak mówią sprawozdania.

- Wiesz, jak mi się mylą daty.

- Nie, nie wiem. - \_przerwała. - A może pan nigdy dotąd nie widział pułkownika de Graafa ani van Geldera?

- Nie, nie widziałem.

- Ale...

- Nie chciałem ich niepokoić. - Zatrzymałem się przed budką telefoniczną. - Muszę zadzwonić w kilka miejsc. Zaczekaj tutaj.

Nie! - Atmosfera Amsterdamu była widać bardzo demoralizująca. Maggie stawiała się równie nieznośna jak Belinda. Ale miała rację; zacinający deszcz padał teraz całymi strumieniami. Otworzyłem drzwi wpuściłem ją przed sobą do budki. Zadzwoiłem do pobliskiej firmy wynajmu taksówek, której telefon znałem, po czym jątem wykrecać inny numer.

- Nie wiedziałam, że pan mówi po holendersku - rzekła Maggie.

- Nasi przyjaciele też nie wiedzą. Dlatego możemy dostać uczciwego

- Pan naprawdę nie ufa nikomu, co? - powiedziała Maggie z po-

- Tobie ufam, Maggie.

- Nie, nie ufa mi pan. Po prostu nie chce pan przeciążać mojej pięknej główki zbędnymi problemami.

- To powtarzasz po mnie - poskarżyłem się. W telefonie odezwał się Graaf. Po zwyczajowych uprzejmościach zapytałem: - Jak tam te papierki? Jeszcze się nie udało? Dziękuję, pułkowniku, zadzwonię później.

. Odwiesiłem słuchawkę.

- Jakie papierki? - spytała Maggie.

- Te, które mu dałem.

- A skąd pan je wziął?

- Jeden facet dał mi je wczoraj.

Maggie spojrzała na mnie z właściwą sobie rezygnacją, ale nic nie \_wiedziała. Po kilku minutach zjawiała się taksówka. Podałem kierowcy adres na starym mieście i kiedyśmy tam dojechali, poszedłem z Maggie wąską uliczką do jednego z kanałów w dzielnicy portowej. Zatrzymałem się na rogu.



- To jest to?

- To jest to - odrzekła Maggie.

"To" było małym szarym kościółkiem stojącym o jakieś pięćdziesiąt metrów dalej nad kanałem. Tę starą, zapadniętą, rozsypującą się budowlę utrzymywała w mniej więcej pionowej pozycji chyba jedynie wiara, bo dla mego niefachowego oka zdawała się być w bezpośrednim niebezpieczeństwie runięcia do kanału. Miała kwadratową kamienną wieżę, odchyloną co najmniej o pięć stopni od pionu, a na jej czubku małą wieżyczkę, przekrzywioną niebezpiecznie w przeciwnym kierunku: Dla Pierwszego Reformowanego Kościoła Amerykańskiego Stowarzyszenia Hugonotów była najwyższa pora przystąpienia do szeroko zakrojonej zbiórki funduszy.

Dowodem, że niektórym przyległym budynkom jeszcze bardziej groziło zawalenie, był fakt, iż po tej samej stronie kanału za kościołem dokonano już ich rozbiórki na dużej przestrzeni; ogromny dźwig z największym